



Liz Fielding



Sen o pustyni

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lydia Young, ustawiona w wyeksponowanym miejscu koło recepcji luksusowego londyńskiego hotelu, była jednym wielkim kłamstwem. Wszystko, od czubków pantofli po fantazyjne piórka zdobiące kapelusz, było fałszywe. Owszem - ale za to w jakim stylu! Kostiumik, kropka w kropkę jak oryginał zaprojektowany przez jednego z tuzów świata mody, uszyty został nie przez byle kogo, bo przez matkę Lydii, która pracowała kiedyś jako szwaczka w domu mody bardzo znanego projektanta. Buty, torebka i zegarek, wszystko podróbki, jakie wykłada się na wystawie, ale podróbki genialne. Mógł to zauważyć tylko prawdziwy znawca, i to dopiero po bardzo dokładnym obejrzeniu.

Samo ubranie, wiadomo, to nie wszystko. Lydia słyszała kiedyś zwierzenia pewnej aktorki, która opowiadała, jak przygotowuje się do nowej roli. Lydia wysłuchiwała jej bardzo uważnie i zaczęła dokładnie studiować osobę, którą miała odgrywać. Sposób chodzenia, gesty, charakterystyczne pochylenie głowy. Głos ćwiczyła tak długo, póki nie zapomniała, jak brzmi jej własny. Identyczny uśmiech też udało jej się wyczarować - taką nieco stonowaną wersję hollywoodzkiego szczerzenia zębów.

Nagrodą za jej trud była zawsze chwila, gdy wkraczała do sali pełnej ludzi, którzy doskonale wiedzieli, że panna Lydia Young jest tylko sobowtórem zatrudnionym w celu przydania splendoru uroczystości otwarcia nowego klubu czy restauracji albo promocji nowego produktu. W jej wyglądzie jednak i sposobie bycia nie było niczego, co pobudzałoby wyobraźnię i skłaniało do szukania różnic. Była kopią idealną, w rezultacie traktowano ją z takim samym szacunkiem jak pierwowzór.

Teraz, cała w uśmiechach, pozowała do zdjęć razem z gośćmi uczestniczącymi w promocji nowego produktu pewnej firmy, zorganizowanej w hotelu z wieloma gwiazdkami, na który ona w tym swoim drugim, normalnym życiu mogła najwyżej popatrzeć sobie z okien autobusu.

Uścisnęła kilkanaście dłoni, swobodnie i z wdziękiem zamieniła kilka słów, dyrektor firmy wręczył jej piękną ciemnoróżową różę - ten kwiat należał przecież do wizerunku oryginału, tak samo jak uśmiech. I na tym koniec. Pora wracać do świata realnego. Zawieźć matkę na umówioną wizytę do lekarza, potem nocna zmiana w supermarkecie,

od północy do siódmej rano, podczas której być może będzie układała na półce jakąś nową markę herbaty.

Co za ironia losu, myślała, maszerując przez wykładany marmurami hotelowy hol. Do szatni, gdzie z powrotem miała przeobrazić się w skromną Lydię Young, która do domu wróci autobusem.

Szła, czując na sobie wzrok wszystkich. Nic nowego, ludzie zaczęli oglądać się za nią na ulicy i wołać „Rose!”, kiedy miała dziesięć lat. Podobieństwo było tak uderzające, że w wieku szesnastu lat Lydia postanowiła podjąć wyzwanie. Zaczęła czesać się tak jak lady Rose i poprosiła matkę, żeby uszyła jej żakiet z czarnego aksamitu, dokładnie taki, jaki miała na sobie lady Rose na zdjęciu, które ukazało się gazetach po jej szesnastych urodzinach.

Ktoś zrobił wtedy Lydii zdjęcie, które trafiło do gazety i zwróciło uwagę największej w kraju agencji sobowtórów. Lydię zatrudniono, dzięki czemu monotonne życie jej niedołęznej matki nabrało nowej treści. Z wielkim zapalem zaczęła studiować stroje lady Rose, polować na odpowiednie tkaniny i dokładnie te stroje kopiować. Poza tym dodatkowa praca oznaczała dodatkowe pieniądze, i to w takich ilościach, że Lydia zaczynała zastanawiać się nad kupnem samochodu, co umożliwiłoby matce dalsze wyprawy, nie tylko po okolicznych sklepach.

Pochłonięta rozmyślaniami o czymś tak radosnym jak własny samochód, dopiero w połowie drogi przez wyłożony marmurami hol zauważyła, że tym razem jest inaczej. Nikt na nią nie patrzy.

Ktoś inny znalazł się w centrum uwagi. Ten ktoś właśnie się odwrócił, a pod Lydią ugięły się nogi. Nagle stanęła bowiem twarzą w twarz ze sobą. Z tą drugą sobą, lady Roseanne Napier, ulubienicą całej Anglii we własnej osobie. Od cudownego kapelusza po cząwszy, po rewelacyjne buty, za które człowiek oddałby życie.

Serce Lydii postanowiło na moment znieruchomieć. W głowie miała tylko jedną myśl, konkretnie modlitwę. Błagam, niech te marmury się rozstąpią, ukazując czeluść, która pochłonie Lydię Young, słała w niebiosa litanie do Najwyższego.

Niestety anioł mający za zadanie ratować głupków w najbardziej krytycznych sytuacjach w chwili obecnej ratował kogoś innego. Marmurowa posadzka ani drgnęła, drgnęły natomiast kąciki ust lady Rose.

- Tę twarz skądś znam - powiedziała, uśmiechając się bardzo miło i wyciągając do Lydii wypielegnowaną dłoń. - Nazwisko, niestety, mi umknęło...

- Lydia, proszę pani. Lydia Young - wyjąkała Lydia, łapiąc ją za rękę, zresztą bardziej żeby się na niej wesprzeć, niż uścisnąć.

Może powinna dygnąć? W końcu to arystokratka. Ale chyba sobie daruje, tak z rozsądku, istniało bowiem niebezpieczeństwo, że kolana, kiedy znajdą się niżej, nie dadzą rady powrócić do pozycji wyjściowej.

- Prze... przepraszam - wyjąkała, puszczając rękę lady Rose. - To wcale nie było zaplanowane, przysięgam. Nie miałam pojęcia, że pani tu będzie.

- Ależ proszę nie przepraszać. Nie widzę żadnego problemu!

Lady pogawędziła z nią jeszcze przez chwilę. Wyraźnie chciała, żeby Lydia przestała się denerwować.

Na pewno denerwował się facet w drzwiach - chyba ten, za którego miała wyjść, tak przynajmniej pisali w gazetach. Machał ręką, dawał jakieś znaki. Lady Rose, zanim odeszła, zadała jeszcze jedno pytanie:

- Lydio, a tak dla informacji, ile pani bierze za to udawanie? Pytam, bo może kiedyś będę chciała wziąć sobie wolne.

- Dla pani gratis, lady Rose. Proszę tylko zadzwonić. O każdej porze dnia i nocy.

- A miałyby pani ochotę na trzy godziny Wagnera? Dziś wieczorem? Och, proszę się nie bać, tylko żartowałam!

Uśmiech nie schodził z jej twarzy, głos był pogodny, ale oczy, w które przez moment udało się spojrzeć Lydii głębiej, nie były wesole. Zdradzały, że promienna lady Rose ma jakieś problemy.

Wyjęła z torebki swoją wizytówkę.

- Mówiłam serio, milady. Proszę do mnie dzwonić o każdej porze.

Po trzech tygodniach Lydia usłyszała w komórce głos brzmiący tak samo jak jej:

- Naprawdę mówiła pani serio?

Kalil Al-Zaki spojrział na uśpioną zimą ogród londyńskiej ambasady Ramal Hamrahn, na roześmiane dzieci ambasadora brykające po ścieżkach, oczywiście pod czujnym okiem niani. Pomyślał, że od ojca tych dzieci, swego kuzyna Hanifa, jest młodszy zaledwie o kilka lat. Mężczyzna po trzydziestce powinien mieć już własną rodzinę, synów...

- Wiem, jak bardzo jesteś zajęty, Kal. Ale to tylko tydzień.

- Nie rozumiem, w czym problem - powiedział, odwracając z powrotem głowę ku matce rozbrykanych dzieci, księżniczce Lucy Al-Khatib, żonie Hanifa. - W Bab el Sama nic złego nie może się przytrafić lady Rose. W końcu miejsce, gdzie wypoczywa rodzina królewska, jest na pewno pilnie strzeżone.

- Owszem, a jednak wczoraj złożył mi wizytę książę, dziadek Rose. Twierdzi, że ktoś grozi jego wnuczce.

Kal sposepniał.

- Niedobrze... A dokładniej kto? Czym?

- Niestety, książę nie chciał przekazać żadnych szczegółów. A zwrócił się z tym do mnie, nie do Hanifa, ponieważ to ja zaprosiłam Rose. Już dawno temu powiedziałam jej, że jeśli kiedykolwiek będzie chciała ukryć się przed światem, Bab el Sama jest do jej dyspozycji. Teraz Rose zamierza tam jechać, a książę, z powodu tych pogroźek, próbuje jej w tym przeszkodzić. Nie mówił nic Rose, nie chciał jej wystraszyć, ale przyszedł do mnie i prosił, żebym wycofała swoje zaproszenie. Sama nie wiem, co o tym myśleć. Jego syna i synową zamordowano w okrutny sposób, nic więc dziwnego, że teraz drży o wnuczkę. A te pogroźki... Może to jakiś maniak, który słyszał pogłoski, że wkrótce mają być ogłoszone zaręczyny Rose z Rupertem Devenishem...

- A może nikt nikomu nie grozi, tylko księciu nie podoba się, że Rose na jakiś czas wyfrunie spod jego skrzydeł?

- Sama nie wiem - z westchnieniem odparła Lucy. - Nie chcę być niesprawiedliwa. Może książę faktycznie ma na punkcie Rose obsesję, ale nie wątpię, że robi wszystko w dobrej wierze. Jest dla niego kimś bardzo cennym.

- Nie tylko dla niego... - Zdaniem Kala cały ten cyrk z nadzwyczajną dobrocią i niewinnością lady Rose był robiony pod publikę. Gazety coś takiego ochoczo kupują, bo mają temat na pierwszą stronę.

- Kal, ona bardzo chce przyjechać. Potrzebuje paru dni samotności. Zrozum, Rose jest osobą publiczną od szesnastego roku życia, kiedy to okrzyknięto ją „aniołem tłumów”. Media nie dają jej spokoju, tropią ją wszędzie. Od dziesięciu lat wystarczy, że kiwnie palcem, a już ktoś robi jej zdjęcie!

- Współczuję.

- Ona nie potrzebuje współczucia, tylko odrobiny prawdziwej prywatności. Czasu dla siebie, żeby mogła spokojnie zastanowić się, co dalej.

- Co dalej? Nie rozumiem. Przecież mówiłaś, że wybiera się za męża.

- Jak na razie to tylko pogłoski. Kto wie, czy nie rozsiewa ich sam książę. Rozumiesz, dziewiczy wizerunek już się przejadł, nawet zaczyna być pożywką dla różnych prześmiewców, a historia powinna toczyć się gładko, dlatego małżeństwo i dzieci są bardzo pożądane. Jego Wysokość rozejrzał się już za właściwym kandydatem. Pewien hrabia, który odpowiada jego wymaganiom, podobno czeka w dołkach startowych. Niestety.

Niestety? Niby dlaczego? Kal wzruszył ramionami. Jego zdaniem takie małżeństwa z rozsądku były na głowę oklepane małżeństwa z miłości. Na pewno były bardziej trwałe.

- Wiesz co, Lucy? Najprościej byłoby powiedzieć lady Rose, że w twojej rezydencji zawalił się dach.

- I co? Ma nie przyjeżdżać? Kal, ona naprawdę musi odpocząć. Pojedziesz z nią? Nie sądzę, żeby Rose groziło jakieś niebezpieczeństwo, ale nie wolno ryzykować. Ktoś musi jej pilnować, a jeśli zwrócę się z tym do emira, wyznaczą kogoś ze straży pałacowej, no i efekt będzie taki, że Rose jedno więzienie zamieni na drugie.

- Więzienie?!

- A jak to nazwać? Kal... - Lucy spojrzała na niego błagalnie. - Bardzo martwię się o Rose. Niby jest pogodna, ale to tylko pozory. Tak naprawdę jest smutna. Bardzo bym chciała, żebyś pojechał z nią i postarał się ją czymś zabawić. I rozbawić, rozumiesz?

- To w końcu co mam robić? Pilnować jej czy kochać się z nią?! - rzucił rozdrażniony.

Coraz mniej mu się to wszystko podobało. Zawsze starał się żyć tak, żeby nikt nie nazwał go playboyem, jako że zbyt wielu ludziom nazwisko Al-Zaki kojarzyło się z takim właśnie typem mężczyzny. Kal zawsze będzie wnukiem księcia wygnańca, a przy tym notorycznego uwodziciela, oraz synem człowieka, którego afery z pięknymi kobietami dawały chleb dziennikarzom z plotkarskich gazet przez czterdzieści lat.

- Kal, może potraktuj to jak swoistą misję dyplomatyczną. Dyplomata, jak wiadomo, to człowiek, któremu udaje się zadowolić wszystkich, chociaż działa wyłącznie w interesie swojego kraju. A ty przecież chcesz przysłużyć się swojemu krajowi, prawda?

Swojemu krajowi? Oboje doskonale wiedzieli, że on czegoś takiego nie posiada. Ale Lucy nie bez kozery uderzyła w wielki dzwon, teraz to do Kala dotarło. Nieoceniona kuzynka nalega na jego wyjazd do Bab el Sama, ponieważ uważa ten wyjazd za wielką szansę na popchnięcie do przodu wszystkich spraw. Tej najważniejszej, czyli przywiezienie dziadka do domu, oraz odzyskanie przez najbliższą rodzinę Kala utraconej pozycji. Chodziło też o sfinalizowanie małżeństwa Kala z kobietą z jednego z najznamienitszych rodów w Ramal Hamrahn.

Kal złożył ukłon, niezbyt głęboki, ale pełen szacunku.

- Możesz na mnie liczyć, księżniczko. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby lady Roseanne Napier była zadowolona z wizyty w Ramal Hamrahn.

- Dziękuję, Kal. Teraz z czystym sumieniem mogę zapewnić księcia, że nie ma powodu do obaw, skoro o bezpieczeństwo jego wnuczki zadba bratanek emira.

Kal mimo woli uśmiechnął się.

- Chyba nie powiesz mu, o którego akurat bratanka chodzi?

- Naturalnie, że powiem! Tym drobnym szczegółem może i nie będzie zachwycony, ale nie zaprotestuje, żeby nie obrazić emira zastrzeżeniami wobec jednego z jego krewnych. Fakt, że twój rodzony dziadek był rebeliantem, niczego tu nie zmienia.

- A jak zareaguje na to sam emir?

- Och, zostanie postawiony przed faktem dokonanym, a jego żonie nie będzie wypadało nie złożyć dostojnemu gościowi kurtuazyjnej wizyty, będziesz więc miał okazję spotkać się ze swoją ciotką.

Z księżniczką Sabirah... Oczy Kala rozbłysły.

- Lucy! Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci się za to odwdzięczyć.

- Zdołasz - powiedziała z uśmiechem. - Nie spuszczaaj oka z Rose!

- Jakim cudem udało ci się wywojować tydzień urlopu tuż przed świętami, Lydio?!

- Nie cud, a wrodzony czar i wdzięk. - Wręczyła kierownikowi swoją kasę.

Zmiana dobiegła końca, teraz laba. Przed Lydią siedem dni słodkiego nieróbstwa w egzotycznym pustynnym kraju, dokąd ma jechać, udając lady Rose. Będzie pławić się w luksusie, nosić prawdziwe markowe ubrania, a nie podróbki uszyte przez matkę. Będzie traktowana jak prawdziwa księżniczka.

Była w euforii. Kiedy jednak wsiadała do samochodu, opadły ją wątpliwości.

Nikomu nie zdradziła, na jakich zasadach udaje się do dalekiego kraju. W pracy powiedziała, że bliscy znajomi mają tam wakacyjne lokum, które udostępnili jej na siedem dni. Matce natomiast przedstawiła wersję następującą: jedna z koleżanek z pracy szuka gorączkowo czwartej osoby do apartamentu na Cyprze.

- Jak myślisz, mamó, warto się podłączyć?

Matka oczywiście nie wyobrażała sobie, żeby córka nie skorzystała z okazji.

Lydia wołała nie ryzykować. Wiedziała doskonale, że jeśli powie prawdę, matka nie wytrzyma. Dochowanie tajemnicy będzie ponad jej siły, opowie więc wszystko najlepszej przyjaciółce, która z nią zamieszka na czas nieobecności Lydii. Dlatego nie miała wyboru, musiała okłamać matkę, choć czuła się z tym paskudnie.

Wszystko odbyło się zgodnie z planem. Lydia czekała w hotelowym pokoju, który oddano do dyspozycji lady Rose uświetniającej swoją obecnością lunch dla działaczek Klubu Różowej Wstążki. Po lunchu lady Rose udała się do owego pokoju, wyszła z niego po kwadransie.

Oczywiście nie ona, tylko Lydia Young w malinowym kostiumiku z gniecionego jedwabiu, fantazyjnym kapelusiku z woalką i słynnym naszyjniku z pereł zmarłej księżnej Oldfield.

Szła korytarzem z bijącym sercem i ściśniętym gardłem. Kiedy usłyszała, że ubrany na czarno ochroniarz ruszył za nią, na moment zabrakło jej tchu. Rose co prawda zapewniała, że ochroniarz będzie patrzył na wszystko i wszystkich, tylko nie na Rose, ale i tak trudno było uwierzyć, że nie zauważył różnicy.

Nie zauważył. A więc nie pękaj, Lydio, nakazała sobie w duchu. Uśmiech na twarz i pruj do przodu. Pamiętaj, to tylko twoja dodatkowa praca.

Trzymając się kurczowo tej myśli, podeszła do czekającego na nią dyrektora hotelu, który elegancko odprowadził ją do drzwi. Lydia podała mu rękę, podziękowała za wspieranie działalności klubu walczącego z rakiem piersi i wyszła z hotelu.

Rose uprzedziła ją, co się stanie, jednak aż takiego tłumy Lydia się nie spodziewała. Na chodniku przed hotelem tłoczyli się nie tylko paparazzi, także zwyczajni ludzie, którzy chcieli na własne oczy zobaczyć „anioła tłumów”. Wszyscy w pełnym rynsztunku, aparaty fotograficzne, kamery wideo i oczywiście komórki.

Lydii znów na moment zabrakło tchu. Na szczęście paparazzi zaczęli się wydzieierać, a to podziałało jak zimny prysznic.

- Lady Rose! Tędy prosimy, lady Rose! Jaki śliczny kapelusz, lady Rose! Jaki wymowny!

Słodki, przykuwający wzrok kapelusik wykonany został specjalnie na tę okazję. Wąziutki toczek w kształcie kokardki, oczywiście różowy, jak kostium. Do toczka przypięta była ciemnoróżowa woalka obsypana maciupenkimi pętelkami z aksamitu. Woalkę-kamuflaż wymyśliły razem z Rose. Dzięki tej zasłonce nawet najbardziej sokoli wzrok nie był w stanie dostrzec minimalnych różnic z oryginałem.

- Jak wypadł lunch, lady Rose? - zawołał jeden z reporterów.

Lydia szybko przełknęła dławiącą gulę w gardle. Wiadomo, nerwy.

- To był wyjątkowy lunch, służący wyjątkowym celom!

Uff... Nikt nie zaprotestował, nie krzyknął:

- To nie ona!

Czyli nie jest źle. Lydia, czując się nieco pewniej, wdzięcznym ruchem uniosła ozdobioną pięknym pierścionkiem dłoń i dotknęła różowego kapelusika.

- Klub Różowej Wstążki! Piszcie o nim jak najwięcej!

- Czy czeka pani z niecierpliwością na swoje wakacje, lady Rose? - krzyknął któryś z fotoreporterów.

Lydia, wyłowiwszy go z tłumu wzrokiem, posłała mu promienny uśmiech.

- Oczywiście! Nie mogę się ich doczekać.

- Czy spędzi je pani sama?

- Tak! O ile państwo też weźmiecie sobie tydzień wolnego! - zawołała, wywołując salwę śmiechu. Świetnie! Zadowolona z siebie jeszcze raz wyszczerzyła zęby do fotoreporterów, odwróciła się i podeszła do zwyczajnych ludzi. Rose zawsze tak robiła, Lydia widziała to setki razy w telewizji.

Uścisnęła kilka rąk, odpowiedziała na kilka pytań, z wdzięcznym uśmiechem odebrała bukiet kwiatów.

- Proszę pani...

Ochroniarz znacząco wskazał na zegarek. Pora jechać na lotnisko. Lydia pomachała na pożegnanie. Jeszcze jeden uśmiech i zgrabnie wsunęła się do samochodu. Usiadła, drzwi zamknęły się za nią i limuzyna powiozła ją ulicami Londynu.

Po prostu szok. Zwykle po kolejnym wystąpieniu jako lady Rose przebierała się błyskawicznie i gnała do pracy. Teraz mercedes najwyższej klasy z kierowcą w liberii wiozł ją na lotnisko, z którego korzystali ludzie podróżujący zwykle prywatnymi samolotami. A w najbliższej perspektywie nie praca, lecz pełny relaks. Leniuchowanie w wyjątkowych warunkach, kiedy nie trzeba będzie się martwić, że ktoś pozna się na mistyfikacji.

Cudnie. Niestety, zanim zacznie się ta idylla, trzeba będzie przejść przez piekło.

Wejść na pokład samolotu.

Kal miał niecałą dobę na ustawienie wszystkiego w firmie na czas swojej nieobecności, zapakowanie torby i odwiedziny w klinice, żeby dziadka, wciąż kurczowo trzymającego się życia, podbudować obietnicą pozytywnego finału. Do Ramal Hamrahn Kal nie leciał po raz pierwszy, nie był przecież, jak dziadek, banitą, choć też nie miał prawa używać tytułów i nazwiska Khatib. Kupił w stolicy, Rumaillah, apartament na nabrzeżu i wprowadził swoją firmę na tutejszy rynek. Samoloty Kalzak Air Services kursowały regularnie, chociaż z ich usług tubylcy, bojąc się narazić władcy, korzystali w minimalnym

stopniu. W rezultacie samoloty latały prawie puste, firma ponosiła straty, ale Kal wcale z tego powodu nie szalał. Nie przesadzał z reklamą, nadal oferował ceny na poziomie konkurencji. Przecież tu nie chodziło o zysk, lecz o sam fakt zaistnienia na tym właśnie rynku. Być tu, choć emir konsekwentnie go nie dostrzegał. Być tu i czekać cierpliwie, no i przy okazji wyremontować rodzinne gniazdo w Umm Al-Sama.

Niestety, cierpliwe czekanie przestało być dobrym rozwiązaniem. Zegar dziadka tykał coraz szybciej, dlatego zdesperowany Kal gotów był zrobić wszystko, także zabawić się w niańkę pewnej lady, której chyba nie pozwalano nawet samej przejść przez ulicę.

Zgłosił się do ochroniarza warującego przy samolocie z insygniami emira, ten przekazał go w ręce stewarda. Nikt nie witał Kala wylewnie, ale przynajmniej nikt nie był przerażony. Steward wziął od niego torbę i przedstawił mu Atiyę Bisharę, stewardesę, która podczas lotu miała dbać o lady Rose, po czym oprowadził go po samolocie, żeby Kal osobiście mógł się upewnić, że wszystko jest w porządku.

Wszystko było w porządku. Kal zszedł z pokładu samolotu i poszedł do terminalu, do sali dla VIP-ów, żeby tam czekać na lady Rose. Spojrzał na zegarek. Za minutę powinna tu być, ale na pewno się spóźni, zajęta pozowaniem do zdjęć i rozdawaniem uśmiechów rozentuzjasmowanym fanom. Nie znał jej osobiście, ale jakie takie wyobrażenie o tej damie miał, była przecież ulubienicą mediów. Jak ją oceniał? Cukiereczek w błyszczącym opakowaniu, sama słodycz i wdzięk. Aż za dużo tego. I Lucy przyjaźniła się z kimś takim!

No cóż... nikt nie jest doskonały, prawda? Miał zamiar wziąć gazetę i rozsiąść się w fotelu, kiedy nagle zauważył poruszenie koło drzwi. Przyjechała lady

Rose. Punktualnie co do minuty, czyli należy jej się pochwała. Jednak Kalowi ta jej punktualność też wydała się irytująca.

Łatwość, z jaką osoby spokrewnione z rodziną królewską - czyli zajmujące czołowe pozycje na liście VIP-ów - przechodzą przez wszystkie formalności na lotnisku, była zdumiewająca. Szczerze mówiąc, przez nic się nie przechodzi. Żadnego latania do taśmy po bagaż czy stawania w kolejce do odprawy paszportowej. Lydia wcale nie musiała zdejmować zakietu ani butów, nikt też się nie kwapił do prześwietlania jej torebki i nese-

seru. Wszystko odbyło się błyskawicznie. Po prostu ochroniarz zaprowadził ją do sali dla odlatujących. Potem, zgodnie z tym, co mówiła jej Rose, miał wsadzić ją do samolotu i do widzenia. Parę godzin lotu i wreszcie słodkie lenistwo w luksusowej rezydencji Lucy w Bab el Sama. Jedyne zadanie to czasami wystawić się na pokaz w ogrodzie lub na plaży, żeby paparazzi mieli okazję pstryknąć zdjęcie. I nic więcej. Przez cały tydzień Lydia Young, pracownica supermarketu, będzie żyć jak księżniczka. Jak w bajce, coś w stylu Kopciuszka. Przydałaby się jeszcze dobra wróżka, która wyczarowałaby jej wysokiego, przystojnego księcia, koniecznie z czarnymi włosami.

Ochroniarz otworzył przed nią drzwi do sali dla VIP-ów i odsunął się na bok. Weszła do środka, ochroniarz pozostał za progiem.

- Proszę pani - usłyszała za swoimi plecami - teraz czuwać będzie nad panią pan Al-Zaki.

Kto?!

Tylko pomyślała, bo głos uwiązał jej w gardle. W sumie nic zaskakującego, kiedy jest się kobietą i nagle widzi się przed sobą takiego mężczyznę. Powalającego. Dosłownie, bo kiedy przepiękne czarne oczy spojrzały na nią, jej nogi zrobiły się jak z waty.

- Witam, lady Rose - powiedział raczej chłodno. - Nazywam się Kalil Al-Zaki. Zgodnie z życzeniem księżniczki Lucy dołożę wszelkich starań, żeby była pani zadowolona z pobytu w Bab el Sama.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Pan je... jedzie ze mną do Bab el Sama? - wykrztusiła po dłuższej chwili, przerażona takim biegiem wypadków. Siedem dni w towarzystwie mężczyzny, który jednym spojrzeniem kładzie ją na łopatki?!

- Tak. Tam i z powrotem. Mam przy sobie list od księżniczki Lucy do pani, ale może przekażę go później. Pas startowy jest wolny, możemy już lecieć. Zapraszam na pokład.

Lydia skinęła głową, męskie palce zacisnęły się lekko na jej łokciu. Niby nic, jednak wrażenie było piorunujące. Na szczęście nogi nie odmówiły posłuszeństwa. Bez problemu wyszła z terminalu i pokonała drogę do samolotu.

Kiedy Rose powiedziała, że poleci prywatnym samolotem, wyobraziła sobie coś niedużego, czym lata zwykle kadra kierownicza. A tu kolejny szok. Samolot pasażerski standardowej wielkości, czyli ogromny, na którym namalowane były insygnia emira. Brakowało tylko czerwonego dywanu i gwardii honorowej!

Z wielkim trudem posuwała się do przodu. Była przerażona. Jeśli teraz odkryją, że mają do czynienia z fałszywą lady Rose, na pewno nie będzie zabawnie. Nie pomoże żadna wróżka. I kim, u licha, jest ten nowy anioł stróż lady Rose? Na pewno nie zwyčajnym ochroniarzem.

Jego nazwisko... Al-Zaki...

Jeśli chodzi o księżniczkę Lucy, która zaprosiła Rose do letniej rezydencji, sprawa była jasna. Żona ambasadora Ramal Hamrahn w Londynie, najmłodszego syna emira. Przyjaciółka Rose. Rose przekazała również Lydii garść informacji na temat najbliższej rodziny Lucy. Lydia знаła imiona i wiek dzieci, w razie czego mogła spokojnie o nie zagadnąć.

Ale kim jest on?! Czyżby faktycznie miał się kręcić koło niej przez siedem dni? Tragedia. Ustaliły przecież z Rose, że Lydia stykać się będzie tylko ze służbą i sporadycznie z obiektywem kamer. A tu taka niespodzianka! Lydia miała już za sobą występ przed kamerami. Jakoś poszło, nie wyobrażała sobie jednak, że da radę udawać lady Rose przez cały tydzień przed tym mężczyzną.

Miejmy nadzieję, że Lucy w swoim liście wszystko wyjaśnia...

- Witamy panią na pokładzie samolotu emira Ramal Hamrahn, lady Rose - powiedziała bardzo ładna stewardesa czekająca w otwartych drzwiach. - Nazywam się Atiya Bishara, będę miała zaszczyt obsługiwać panią... Czy mogę wstawić kwiaty do wody?

Lydia spojrzała na trochę już zwiędnięty bukiet, który przyciskała do piersi, i odechnęła nieco swobodniej. Stewardesa, kwiaty... Wreszcie sytuacja podobna do standardowych występów w roli lady Rose, praktykowanych od, bagatela, piętnastu już lat.

- Dzień dobry! - powiedziała z miłym uśmiechem, wręczając stewardesie kwiaty, a także niewielki skórzany neseser, ciemnoróżowy, w tym samym odcieniu co kapelusik. W neseserze były apanaże od lady Rose na pokrycie wydatków w ciągu najbliższego tygodnia. Lydia dorzuciła też trochę swoich pieniędzy i paszport, tak na wszelki wypadek, gdyby coś nie wypaliło.

- Bagaze zaniesiono już do pani saloniku, lady Rose - poinformowała Atiya, podprowadzając ją do fotela gigantycznej wielkości.

Mój salonik?! - pomyślała oszołomiona.

Niestety, rzeczywistość zdecydowanie odbiegała od dotychczasowych występów. Lydia, znów trochę spanikowana, usiadła w fotelu i przede wszystkim wyjęła komórkę. Trzeba przesłać wiadomość Rose. Króciutką, lecz jakże ważną: że wszystko jak dotąd jest OK.

Oczywiście oprócz faktu zaistnienia Kalila Al-Zakiego. Jednak na to Rose nie miała żadnego wpływu.

Zrobione. Lydia wyłączyła telefon i rozejrzała się dookoła. Z zewnątrz samolot, oprócz namalowanych na nim insygniów emira, nie różnił się od innych. Natomiast w środku wyglądał zupełnie inaczej niż samoloty tanich linii lotniczych, z których korzystała Lydia, kiedy wybierała się na tydzień- lub dwa po słońce.

- Czy ma pani ochotę napić się czegoś przed startem, lady Rose? Soku? Może wody?

Miły Boże! Start i samolot. Te dwa wyrazy zdecydowanie nie wzbudzały w Lydii entuzjazmu. Do tej chwili udało jej się jakoś o tym zapomnieć. Najpierw skupiła się na miłej przejażdżce luksusową limuzyną, potem na osobie Kalila Al-Zakiego.

Poprosiła o wodę, po czym podejmując kolejną próbę skupienia się na czymś innym niż start samolotu, który miał nastąpić już za chwilę, zerknęła na mężczyznę na sąsiednim fotelu. Rewelacja. Marynarka opięta na barczystych plecach. Lśniące czarne włosy, odgarnięte z wysokiego czoła, opadały lokami na kołnierz. Rysy twarzy bardzo męskie, zdecydowane. Wargi miękkie, pełne, dolna dodatkowo leciutko opadająca, co było niesamowicie seksowne.

Kalil Al-Zaki, jakby wyczuwając jej wzrok, spojrział na nią. Naturalnie zrobiło jej się trochę głupio, ale Kalil na szczęście nie spytał, co ją w nim tak zainteresowało, tylko wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę.

- Proszę, to list od księżniczki Lucy.

Lydia odebrała elegancką kwadratową kopertę w kolorze écru. Ciepłutką, wygrzaną ciałem tego mężczyzny, co niestety wystarczyło, żeby słowo „dziękuję” jakoś nie chciało przejść jej przez gardło. Speszona tym faktem, czuła, że jej policzki płoną, dlatego szybko w duchu pobłogosławiła nieocenioną woalkę. I wyjęła z koperty list.

Droga Rose!

Przepraszam, ale wczoraj absolutnie nie miałam możliwości skontaktowania się z Tobą, żeby uprzedzić, że w Bab el Sama towarzyszyć Ci będzie kuzyn Hana, Kalil Al-Zaki. Wiem, jak rozpaczliwie pragniesz samotności, nie wyobrażam sobie jednak, żebyś mogła być tam kompletnie sama, zdana tylko na służbę. Musisz mieć przy sobie kogoś, kto będzie do Twojej dyspozycji, a jednocześnie nie będzie informował

Twojego dziadka o każdym Twoim kroku. Oczywiście można by podesłać kogoś ze straży pałacowej emira. To znakomicie wyszkoleni ludzie, nie sądzę jednak, żebyś w takim towarzystwie czuła się zrelaksowana.

Kal na pewno nie będzie Ci się narzucał, powinnaś jednak poprosić go o towarzystwo, wybierając się na pustynię czy bazar - dokąd koniecznie musisz pójść. Rozumiesz, złoto, jedwabie, przyprawy i tak dalej.

Gdybyś czegoś potrzebowała albo po prostu chciała pogadać, dzwoń. Przede wszystkim wypocznij i w ogóle nie myśl o Rupercie.

Całuję mocno Lucy

Niestety, ten list odbierał ostatnią nadzieję, że Kalil towarzyszyć jej będzie tylko podczas lotu. Jego „tam i z powrotem” obejmowało również siedem dni między „tam” a „z powrotem”.

Szkoda. Wszystko dotychczas szło jak po maśle. Aż za dobrze...

Stewardesa podała szklanę z wodą. Lydia szybko wypila duży łyk, tak dla kurażu. Dziadek Rose miał na pewno ochotę wysłać razem z wnuczką swojego ochroniarza. Postrzymał się, bo byłoby to wielkim nietaktem. W Bab el Sama, gdzie wypoczywają członkowie rodziny panującej, gość naprawdę może czuć się bezpieczny. Paparazzi, żeby zrobić zdjęcie lady Rose, będą musieli się postarać, choć z jej akurat strony nie będzie żadnych przeszkód. Wręcz przeciwnie, bo zgodnie z instrukcją ma im to ułatwić. Parę zdjęć zrelaksowanej lady Rose w Bab el Sama jest niezbędnych, dla świętego spokoju. Gdyby lady Rose na ten tydzień zapadła się pod ziemię, zaczęłyby się spekulacje. Co się dzieje? Czyżby zerwała z Rupertem i znalazła się na dnie rozpacz? Może dokąds uciekła? Zaczęliby węszyć ze zdwojoną energią i nie daj Boże cała intryga z sobowtórem wyszłaby na światło dzienne.

Niestety sytuacja stała się bardziej niż fatalna. Nie dość, że za chwilę samolot oderwie się od ziemi, to Lydia miała do czynienia z jeszcze jednym kataklizmem w postaci faceta o oliwkowej skórze, pokazowego dzieła genetycznych wrózek, który działał na nią nieprawdopodobnie, wprowadzając dodatkowy zamęt. Właśnie teraz, kiedy ze strachu trzęsła się jak galareta. Najchętniej, skomląc żałośnie jak wystraszony piesek, wskoczyłaby Kalilowi na kolana.

Całe szczęście, że udając lady Rose od wielu lat, pewne odruchy miała doskonale wyćwiczone. Dała radę poskromić w sobie pieseczka, dała radę w końcu uśmiechnąć się, podać Kalilowi rękę.

- Czyli to pan wyciągnął zapalną bez główki. Fatalnie, panie Al-Zaki!

- Fatalnie? Dlaczego? - spytał, ujmując jej dłoń.

- Na pewno mógłby pan znaleźć sobie w tym tygodniu ciekawsze zajęcie niż pokazywanie mi turystycznych atrakcji.

- Tak pani sądzi? W takim razie zdradzę pani, że nie ja jeden tego chciałem. Konkurencja była bardzo silna.

Powiedział to ze śmiertelną powagą, ale Lydia od razu się zorientowała, że to żart. Kalil ją zaskoczył, ale nie zbił z tropu. Przecież kasjerka z supermarketu tego typu odżywkami karmiona jest codziennie, a kasjerka z takim doświadczeniem jak Lydia ma zawsze gotową odpowiedź.

- Widzę jednak, że załatwiliście sprawę jak prawdziwi dżentelmeni - powiedziała z taką samą śmiertelną powagą jak on. - Nie zauważyłam podbitych oczu ani połamanych rąk czy nóg.

Też błysnęła dowcipem, ale dostrzegając w jego oczach zaskoczenie, poczuła się trochę niepewnie. W końcu Kalil, kuzyn ambasadora, pochodził z kraju, w którym kobiety rzadko otwierają usta. Ich zadaniem jest słuchać.

Zauważyła jednak, że na policzkach Kalila pojawiają się sympatyczne zmarszczki, zapowiedź uśmiechu. I faktycznie, uśmiechnął się.

- Przecież zwyciężyłem, lady Rose.

- Zwyciężył pan? Cieszę się, że pan tak do tego podchodzi!

Z trudem stłumił śmiech. Lucy, bez wątpienia przy milczącej aprobacie męża, pragnąc pomóc Kalilowi, wysłała go razem z lady Rose, by miał okazję udowodnić, że jest człowiekiem godnym zaufania, kimś, kto pragnie przysłużyć się swemu krajowi. Może dzięki temu emir wreszcie przypomni sobie o jego istnieniu.

W sumie sytuacja była bardzo poważna, a Kalilowi nagle zebrało się na żarty.

Dlaczego? Cóż, lady Rose była całkiem inna, niż się spodziewał. Jej zdjęcia były wszędzie, na okładkach czasopism, w gazetach, w internecie. Widział ich setki, nigdy jednak nie zapragnął poznać jej osobiście. Była bardzo zgrabną długowłosą blondynką o niebieskich oczach, ale nic poza tym. Taki trochę manekin, bez szczypty mroku, ognia, tajemnicy, bez tego wszystkiego, czego Kal szukał u kobiety.

Taka była na zdjęciach. A na żywo? Do sali dla VIP-ów wszedł nie manekin, lecz kobieta promienna, pełna życia. Słynne niebieskie oczy, przesłonięte woalką, błyszczały z podniecenia, usta - doskonale widoczne, woalka zasłaniała tylko pół twarzy - były po prostu kuszące. Wargi pełne, wilgotne, był pewien, że słodkie jak dojrzała figa.

Jednym słowem lady Rose na żywo podziałała na niego natychmiast. A teraz, kiedy trzymał ją za rękę, poczuł wielką ochotę podnieść uwodzicielską woalkę i bez żad-

nych już przeszkód spojrzeć w niebieskie oczy, po czym zająć się ustami. Przecież same się o to proszą...

Oczywiście szybko się opamiętał.

- Jest pani nie tylko bardzo piękna, lecz także bardzo bystra, lady Rose - powiedział, niechętnie puszczać jej dłoń.

- Dziękuję. I proszę, mówmy sobie po imieniu. Zgodnie z tym, co napisała Lucy, w pańskim towarzystwie mam czuć się w pełni zrelaksowana. Na imię mam... - Na sekundę zawiesiła głos, a to z obawy, że jeśli go nie zawiesi na tę sekundę, po prostu się załamie. Bo odgrywać swoją rolę to jedno, ale kłamać w żywe oczy to całkiem co innego. - Mam na imię Rose.

- Miło mi. Jestem Kal.

- Lady Rose, czy mogłaby pani zapiąć pasy? - spytała stewardesa, odbierając od niej szklankę. - Samolot zaraz wystartuje.

O nie... samolot, start...

- Ach tak, oczywiście. Już zapinam.

- Może pomóc, Rose? - spytał Kalil, kiedy drżącymi palcami starała się zapiąć sprzączkę.

- Nie! Nie trzeba... Oj!

Nagle odrzuciło ją w tył. Samolot gwałtownie przyspieszył, pędził już po pasie startowym, szybciej, coraz szybciej, a Lydia czuła, że jest z nią coraz gorzej. Zaciśnęła powieki, palce kurczowo chwyciły się poręczy fotela. Umierała ze strachu, jak zawsze podczas startu i nabierania wysokości. Potem, kiedy samolot leciał już ponad chmurami, strach mijał. Nie widać było horyzontu, który przypominał, że do ziemi jest co najmniej dziewięć kilometrów, w sumie więc lot przypominał jazdę autobusem. Z tą tylko różnicą, że samolot nie zatrzymywał się na przystankach.

Teraz jednak przeżywała okropne chwile. Kiedy osiągnęła stadium „problemy z oddychaniem”, nagle poczuła, jak na jej dłoni zaciskają się długie, szczupłe palce. Natychmiast poczuła się lepiej. Odrobinę, ale przynajmniej była już w stanie nabrać powietrza i spojrzeć na Kala.

- Przepraszam - powiedział znów z tą śmiertelną powagą. - Nie czuję się podczas startu zbyt dobrze.

Co?! Znów żartuje?!

Idiotka. Robi to przecież w dobrej wierze. Tym żartem chciał podtrzymać ją na duchu. I spojrzał na nią. Spojrzał tak, że Lydia po raz pierwszy w życiu pożałowała, że nie jest prawdziwą lady Rose. Kalil przecież patrzył w tak cudowny sposób nie na nią, Lydię Young, lecz na lady Rose...

- Już... już lepiej? - wydusiła z siebie, trzymając się konwencji.

- Trochę - odparł Kal, splatając swoje palce z jej palcami. Wcale nie protestowała, o nie. Chyba dolecieliby tak do samego Bab el Sama, gdyby do kabiny nie weszła Atiya.

- Lady Rose, może zaprowadzę panią do pani saloniku. Będzie pani mogła się odświeżyć, przebrać, potem podam herbatę.

- Dziękuję. Już idę.

Odpięła pasy, wstała i podążyła za stewardesą, która wprowadziła ją do eleganckiego pokoju z wygodnym łóżkiem i z łazienką. Łazienką z prysznicem, czyli słowa o „odświeżeniu się” miały swój sens.

- Pomóc w czymś? - spytała Atiya.

Lydia zapewniła ją, że da sobie ze wszystkim radę, a kiedy drzwi zamknęły się za stewardesą, oparła się o nie i zaczęła nerwowo pocierać dłoń, którą przed chwilą trzymał Kalil Al-Zaki, starając się przy tym oddychać powoli i głęboko, by serce znów zaczęło bić normalnie.

Masakra! I to tak ma wyglądać cały tydzień?!

Kal odprowadził wzrokiem wychodzącą Rose.

Dziadek Kalila stracił tron, stracił ojczyznę, ale nie majątek, który miał być rekompensatą za to, że na tronie zasiądzie jego młodszy brat. Kalil wyrósł w luksusie. Zima dla niego to alpejskie stoki w Gstaad i Aspen, lato to włoska rezydencja albo Francja, Lazurowe Wybrzeże. Do szkoły chodził w Anglii, studiował w Paryżu i w Oksfordzie, magisterium zrobił w Stanach. Wyrastał w świecie, gdzie nie odmawiano mu niczego.

Kobiece ciało nie miało dla niego żadnych tajemnic. A ta lady Rose... Według jego standardów trudno było uznać ją za prawdziwą piękność. Była po prostu za chuda. Dla-

czego więc te szczupłe kostki u nóg wydają mu się takie ładne? A to lekkie kołysanie bioder... Do tych bioder ręce same się wyciągają. Miały wielką ochotę przesunąć się po okrągłościach, potem w dół, aż do kolan. Miały ochotę na więcej. Pozbawić tę kobietę ubrania, powoli odsłaniać centymetr po centymetrze aksamitną, brzoskwiniową skórę... Ręce... To on miał ochotę na tę kobietę.

- Czy przynieść panu coś do picia? - spytała stewardesa.

Najlepiej, gdyby wstawiła mnie pod lodowaty prysznic, pomyślał. Było to jednak w tych warunkach niewykonalne, poprosił więc o wodę. Stewardesa wróciła po chwili, ale z pustymi rękami.

- Kapitan Jacobs pozdrawia pana bardzo serdecznie i pyta, czy nie zechciałby pan zajrzeć do kokpitu. Przyniosę tam panu wodę.

Kal nie bardzo miał ochotę na odwiedzin w kokpicie, nie wypadało jednak odmówić, poza tym zdrowy rozsądek podpowiadał, że przyda się parę chwil z dala od lady Rose. Może zdoła ochłonąć.

- Dziękuję, już idę. Powiedziała pani Jacobs? Mike Jacobs?

Masz problem, Lydio Young. Wielki problem!

Przed wyjazdem, z wielką powagą traktując misję, przemyślała każdy możliwy scenariusz, poza tym, jak wielokrotnie powtarzała Rose, w każdej chwili mogła się wycofać. Niestety chwila, kiedy miała szansę wrzasnąć, żeby zatrzymali samolot, bo ona wysiada, dawno minęła. Zresztą gdyby nawet istniała możliwość odwrotu, Lydia pewnie i tak by jej nie wykorzystała. Dziesięć lat zawodowego udawania lady Rose to także przyływ znacznej gotówki, dzięki której życie niepełnosprawnej matki zmieniało się zdecydowanie na lepsze. Lydia uważała, że ma wobec Rose wielki dług wdzięczności i wreszcie miała okazję go spłacić, co niestety nie będzie łatwe, ponieważ trudno nie zauważyć, jak ogromny wpływ na nią mają oczy, usta i dotyk Kalila Al-Zakiego, choć podobno była odporna na facetów. Stała się taka w następstwie dość przykrego incydentu przed pięcioma laty, kiedy to pewien wyjątkowo przystojny młody aktor próbował za pieniądze zaciągnąć ją do łóżka. Na szczęście bezskutecznie.

Lydia do dziś, kiedy sobie o tym pomyślała, czuła na plecach lodowaty dreszcz. Zdjęcia cnotliwej lady Rose z facetem w łóżku warte byłyby miliony, bez względu na to,

co się za tym kryło. Dla Lydii naturalnie byłby to koniec kariery sobowtóra. Nikt by nie uwierzył, że nie maczała w tym palców.

Spojrzała tęsknie na łóżko. Najchętniej wsunęłaby się pod kołdrę i przespała tych osiem godzin lotu. A potem siedem dni. Niestety było to niemożliwe, trzeba będzie zmierzyć się z rzeczywistością.

A teraz musi zadbać trochę o siebie. Najpierw spenetrowała torbę, ciekawa, co zapakowała tam lady Rose. Na samym wierzchu leżały zamszowe woreczki, a w nich pudełeczka na klejnoty. Puste na te precjoza, które Lydia miała na sobie, i kilka pełnych, ze skromniejszą biżuterią, którą lady Rose nosiła poza oficjalnymi wystąpieniami. Do tego oczywiście kosmetyki, pełny wybór, wszystko bardzo drogie. Plus perfumy, cała gama różnych zapachów, plus ubranie na zmianę podczas długiego lotu samolotem. Bardzo ładna bluzka koszulowa z jedwabiu w kolorze szampana, szerokie spodnie z ciemnobrązowego lnu, kaszmirowy blezer i nadzwyczaj wygodne mokasyny z cieniutkiej skóry.

Na samym dnie torby kilka książek w twardej oprawie, najnowsze bestsellery. Dla zabicia czasu podczas wielogodzinnego lotu. Rose nie wiedziała przecież, że Lydia będzie miała towarzystwo.

Towarzystwo Kalila Al-Zakiego. Czyżby księżniczka Lucy, podsuwając lady Rose kogoś tak atrakcyjnego, chciała, żeby jej przyjaciółka zafundowała sobie krótki wakacyjny romans? W końcu każda wolna kobieta ma do tego prawo. A poza tym...

Lydia przysiadła na brzegu łóżka i zaczęła wyjmować z włosów szpilki przytrzymujące kapelusik.

No tak! Przecież księżniczka w swoim liście napisała, że Rose ma w ogóle nie myśleć o Rupercie! Co do tego Ruperta Lydia zgadzała się z Lucy całkowicie. Wszyscy entuzjastowali się tymi zaręczynami, ale Lydia widziała kiedyś Rose i Ruperta razem. Trwało to krótko, wystarczyło jednak, by wyczuć, że między nimi nie ma żadnej chemii, a Rose po prostu jest smutna. Może więc jednak księżniczka Lucy ma cichą nadzieję, że między Rose a Kalilem zaiskrzy. Jeśli tak, to czeka ją gorzkie rozczarowanie, bo prawdziwa lady Rose, bardzo daleko stąd, w pożyczonym ubraniu podąża pożyczonym samochodem na spotkanie ze swoją własną prywatną przygodą.

Lydii w końcu udało się odpiąć kapelusik. Zdjęła go, potem biżuterię, buty i kostium. Wyjęła szpilki z włosów. Co z nimi zrobić? Zostawić rozpuszczone? Czemu nie? Lady Rose na zdjęciach ma włosy zawsze upięte, ale pod koniec dnia za zamkniętymi drzwiami na pewno daje sobie trochę luzu. Także podczas długiego lotu samolotem.

Odświeżyła się, wyszczotkowała włosy i włożyła ubranie, które lady Rose zapakowała do podręcznej torby. Jeszcze tylko biżuteria. Cienki złoty łańcuszek i kolczyki, małe złote kuleczki.

Wsunęła pod pachę jedną z książek, odetchnęła i otworzyła drzwi do głównej kabiny. Podczas jej nieobecności poprzestawiano fotele, dlatego kabina przypominała całkiem wygodny pokój dzienny... w którym nie było nikogo.

TLR

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy Lydia zasiadła przy niewielkim stole nakrytym koronkową serwetą, do kabiny weszła stewardesa, niosąc na tacy ciężką srebrną zastawę. Nalała Lydii herbaty, podała małe kanapki, ciasteczka, ciepłe bułeczki i bitą śmietanę.

- To wszystko dla mnie? - spytała Lydia.

Bo i na to się zanosilo, przeciez Atiya nalala herbaty tylko do jednej filiżanki, a Kal jakby rozplynal sie w powietrzu. Lydii bylo to na reke, glownie z powodu glupich reakcji na jego osobe. Z drugiej strony powinien byc tutaj, przy lady Rose. To nalezalo do jego obowiazkow.

- Kapitan Jacobs zaprosil pana Al-Zakiego do kokpitu - wyjasnila Atiya. - Panowie znaja sie bardzo dobrze, razem uczyli sie zawodu.

- Zawodu? - Lydia zaskoczyla dopiero po minucie. - Chwileczke! Czy to znaczy, ze pan Al-Zaki tez jest pilotem?!

Oczywiscie ani przez sekunde nie wierzyla, ze bal sie podczas startu. Ale pilot? Nigdy by na to nie wpadla. Bliski krewny emira w ogole nie kojarzyl jej sie z pracą zawodowa, a juz na pewno nie z pracą pilota. Jakiego? Linii pasazerskich? A moze jest pilotem wojskowym? To by bardziej pasowalo do czlonka rodziny krolewskiej.

- Czy poprosic pana Al-Zakiego, zeby wroutil juz do pani, lady Rose?

- Nie, nie... Nie ma takiej potrzeby.

Z roznych powodow nie tesknila za jego towarzystwem. Zyczenie sie spenilo, czyli super. Znak, ze dobra wrozka jednak czuwa nad Lydia, ktora poczula sie okropnie glodna i ochoczo zabrala sie do jedzenia. Jadla jak lady, napila sie, potem rozsiadla sie z ksiazka.

Na widok lady Rose w calkiem innej wersji Kal az przystanal w drzwiach. Siedziala z podwinietymi nogami, cala byla pograzona w lekturze. Rozpuszczone wlosy jasnozlocista fala opadaly na ramie. Wygladala jak zwyczajna mloda kobieta, a nie ksiezniczka z pierwszych stron gazet. Byla nie tylko bardzo pociagajaca, sprawiala takze wrazenie osiagalnej.

Czyli mamy podwojny problem, pomyslal smetnie.

- Jak udała się wizyta w kokpicie? - spytała, kiedy Kal usiadł. Niebieskie spojrzenie spod długich czarnych rzęs było bardzo łagodne, jednak głos nie do końca. - Czy twój przyjaciel pozwolił ci usiąść przy sterach?

A więc o to chodzi! O ich krótki dialog podczas startu samolotu. Lady Rose musiała się dowiedzieć od stewardesy, że Kalil Al-Zaki jest zawodowym pilotem i uważa, że się z niej natrząsał.

Niedobrze. Trzeba dać jej szansę, by sobie pożartowała ze mnie, uznał w duchu.

- Owszem - przytaknął. - Mam nadzieję, że przed chwilą nie odczułaś zbyt dotkliwie tego niewielkiego wstrząsu.

Oczywiście kłamał. Lot był wyjątkowo spokojny. Na szczęście kącki ust milady drgnęły, czyli wracał jej dobry humor.

- To byłeś ty? Myślałam, że turbulencja.

- Niestety ja. Dawno nie latałem czymś tak dużym. Trochę zardzewiałem.

- Zatem latanie nie jest jednak czymś, czym zajmujesz się serio?

- W naszej rodzinie nikt niczego nie robi serio - rzucił żartobliwym tonem, choć to, co powiedział, jego na pewno nie dotyczyło. A dla uzupełnienia dorzucił garść faktów: - Mój ojciec kupił sobie kiedyś samolot. Bardzo chciałem latać, przeszedłem więc szkolenie.

- Rozumiem. Powiedziałaś, że nie latałeś takimi dużymi...

- Zawsze zaczyna się od małej maszyny, ale to wciąga jak narkotyk. Po jakimś czasie zawsze zapragniesz polatać czymś większym.

Na tym koniec. Ten temat nie był bezpieczny. Gdyby Rose dowiedziała się, że Kalil Al-Zaki jest prezesem zarządu dużej firmy, na pewno zaczęłaby się zastanawiać, dlaczego przy okazji bawi się w ochroniarza.

- Rose, może masz ochotę zajrzeć do kokpitu? Często strach mija, kiedy człowiek zobaczy, o co w tym wszystkim chodzi.

- To prawda, ale dziękuję, nie. Wiem, że mój strach jest bez sensu. Gdybym nie zdawała sobie z tego sprawy, nigdy bym do czegoś takiego nie wsiadła, a jednak decyduję się na przeżycie trzydziestu sekund panicznego strachu. Potem nie ma już problemu. Ale wizyta w kokpicie? Żeby zobaczyć, ile faktycznie pustki przed nami? Nigdy!

- Naprawdę boisz się tylko wtedy, kiedy samolot nabiera wysokości?

- Tak, a potem już jest w porządku. Ale przedtem koszmar, choć statystyki wykazują, że latanie samolotem jest bezpieczniejsze niż przechodzenie przez ulicę. Przecież wiem. Większe niebezpieczeństwo grozi, kiedy... ludzie jadą do pracy.

Uff! O mały włos, a powiedziałyby „kiedy jadę do pracy”. Chociaż może i tragedii by nie było, przecież lady Rose nie leżała całymi dniami brzuchem do góry. Zajmowała się działalnością charytatywną, a otwarcie nowego szpitalnego oddziału czy uczestniczenie w imprezach na cele dobroczynne wymaga trochę wysiłku, choć osobom postronnym może wydawać się wyłącznie przyjemnością.

- Nieraz mówiono mi o tym - dodała z uśmiechem i pochyliła się nad książką, dając do zrozumienia, że temat uważa za wyczerpany.

Kal jednak miał jeszcze coś do powiedzenia:

- Lądujemy w stolicy, potem lecimy do Bab el Sama helikopterem. Mam nadzieję, że Lucy cię o tym uprzedziła.

Niestety nie, dlatego Lydia pisnęła niczym przerażona myszka:

- He... helikopterem?

- Tak, ale jeśli to problem, zorganizuję inny środek transportu.

W milczeniu pochyliła głowę nad książką, starając się ze wszystkich sił zachować spokój. Marzenie ściętej głowy... Perspektywa lotu helikopterem była szokująca, do tego dochodziły niestety jeszcze inne, wytrącające z równowagi czynniki. Dokładniej to, co zrobił Kal na swoim krześle. Widziała to kątem oka. Najpierw wyciągnął przed siebie długie nogi i skrzyżował w kostkach. Potem zdjął marynarkę, rozluźnił krawat i rozpiął guzik u koszuli przy kołnierzyku, odsłaniając kawałek szyi.

Ludzie kochani! Co właściwie jest tak fascynującego w męskiej szyi, dokładnie z przodu, tam gdzie jest gardło? No co?! Teoretycznie nic, dlaczego więc człowiek raptem ma tak wielką ochotę dotknąć właśnie tego miejsca?

Lydia przełknęła. Z nią naprawdę jest coś nie tak. Lekki podryw był dla niej chlebem powszednim, takie przerzucanie się żarcikami przy kasie. Człowiek włącza tylko mózg i poczucie humoru, reszta pozostaje niewzruszona.

A teraz...

- Nigdy nie latałaś helikopterem? - spytał Kal.

Niestety nie. Lydia Young nigdy w życiu nie siedziała w helikopterze, ale lady Rose, przy swoich licznych zobowiązaniach, być może korzysta i z tego środka transportu. Może nawet lata helikopterem razem z księżniczką Lucy.

O Matko Przenajświętsza! Dlaczego jej o to nie zapytała? Dlaczego?!

Po długiej jak wieczność chwili, kiedy była już pewna na sto procent, że Kal zapyta, co zrobiła z prawdziwą lady Rose, usłyszała inne króciutkie pytanie:

- A więc?

- Co więc?

- A więc jak to jest z tym lataniem helikopterem?

Co za ulga! Kal po prostu czekał, na co ona się zdecyduje. Czy na limuzynę z mięciutkimi siedzeniami i klimatyzacją, czy na ryczącą maszynę, która nawet nie ma porządnych skrzydeł.

Może i nie ma, ale Lydia Young nie może dać plamy.

- Przeżyję i helikopter - oświadczyła bohatersko, za co została obdarowana kolejnym uśmiechem Kala Al-Zakiego, tak samo zniewalającym jak poprzednie.

- Świetnie - powiedział - ale jak będę się bał, weźmiesz mnie za rękę, dobrze?

Zapominając o czarującej powściągliwości, wybuchnęła śmiechem.

- Ciebie? Nie udawaj? Ty na pewno niczego się nie boisz!

- Każdy czasami czegoś się boi, Rose - odpowiedział enigmatycznie, wstając z krzesła. - Zostawiam cię samą, będziesz mogła spokojnie poczytać. Gdybyś mnie potrzebowała, będę w biurze...

Prysznic, sypialnia, teraz biuro. Przepraszam, czy my naprawdę jesteśmy w samolocie?! - pomyślała kpiąco.

- Przykro mi, Kal, że musisz poświęcać mi czas. Na pewno odciągam cię od twoich zajęć...

- Od niczego mnie nie odciągasz, Rose. Przez najbliższych siedem dni jesteś treścią mojego życia. A teraz idę po prostu sprawdzić prognozy pogody.

Treścią jego życia. No, no...

Spokojnie. Tą treścią jest lady Rose, nie Lydia Young. Jaka szkoda... Szkoda, że dla tego mężczyzny o oczach czarnych jak niebo o północy nie może być sobą, niczego nie udawać.

Lydio, nie rozklejaj się!

Pochyliła się nad książką i zaczęła czytać. Cztery razy ten sam fragment, zanim zrozumiała, o co chodzi. Po jakimś czasie udało jej się jednak skupić do tego stopnia, że prawie nie zauważyła, kiedy Kal wrócił na swoje krzesło ze swoją książką pod pachą.

Kiedy przewracała kartkę, dyskretnie zerknęła na jego książkę. Chyba o polityce. Kto by się spodziewał, że mężczyzna, który przed chwilą się przyznał, że nic nie robi serio, interesuje się tak poważną tematyką. Ale cóż, pozory mylą. Kto jak kto, ale Lydia wiedziała o tym najlepiej.

Po jakimś czasie pojawiła się Atiya. Przyniosła kartę dań obiadowych, zaproponowała też coś do picia. Lydia i Kal poprosili o wodę i znów zagłębili się w lekturze. Cisza, słychać było tylko przytłumione buczenie silników samolotu. Po jakimś czasie Lydia podniosła głowę, żeby rozprostować kark. Kal też podniósł głowę, w jego oczach było pytanie. Potrząsnęła przecząco głową, dając do zrozumienia, że niczego nie chce, po czym spojrzała w okno, za którym rozpościerał się jedyny w swoim rodzaju dywan. Magiczny dywan z chmur srebrzonych księżycową poświatą.

Kal widział dokładnie, w którym momencie powieki Lydii opadły, książka wysunęła się z rąk. Złapał ją w ostatniej chwili, otworzył i spojrział na stronę tytułową. Była to biografia pewnej kobiety, która sama zbudowała imperium finansowe. Książka z dedykacją od autorki dla lady Rose.

Zamknął książkę i położył na stoliku. Poprosił Atiyę, żeby przyniosła cienki koc. Przykrył Rose, usiadł z powrotem w swoim fotelu. O książce zapomniał. Wpatrywał się w śpiącą Rose, zastanawiając się, co to za niemiły sen narysował na jej czole pionową zmarszczkę.

- Proszę pana... - spytała cicho Atiya - za dziesięć minut podaję obiad. Czy mam obudzić lady Rose?

- Sam to zrobię. Za chwilę.

Począł, aż Atiya wyjdzie, po czym pochylił się i powiedział miękko:

- Rose... Rose...

Gdy otworzyła oczy, w pierwszej chwili była kompletnie zdezorientowana, ale kiedy zobaczyła Kala, świadomość wróciła. To nie sen, Lydio, powiedziała sobie w duchu. Naprawdę jesteś na pokładzie latającego pałacu, który o północy wcale nie zmieni się w dynię, lecz zawiezie tam, gdzie czeka cię cały tydzień w luksusie. Na swoim krześku przy kasie usiądziesz dopiero za siedem dni.

- Która godzina? - spytała, prostując się w fotelu.

- W Londynie siedem po siódmej, a w Ramal Hamrahn północ. Możesz przestawić zegarek.

Spojrzała na zegarek na swojej ręce. Drogi, bardzo drogi, lepiej przy nim nie majstrować.

- Zrobię to potem.

- Atiya chce podać nam obiad.

- Świetnie...

W gardle miała sucho, wargi też suche, czyli musiała spać z otwartymi ustami.

- Przepraszam, Kal, jeśli chrapałam zbyt głośno.

Wcale nie zaprzeczył, tylko uśmiechnął się. Lydia stłumiła jęk. Chrapała, Kal był tego świadkiem. Niestety, mogło wydarzyć się coś jeszcze gorszego. Mogła coś powiedzieć przez sen!

- Wczoraj poszłaś późno spać?

- Bardzo późno. - Pracowała przecież na drugą zmianę, o czym Kal oczywiście nie musiał wiedzieć. - Nie będzie mnie w Londynie przez cały tydzień, trzeba było wszystko dopiąć na ostatni guzik.

Czyli załadować lodówkę i zamrażarkę, żeby Jennie, która opiekowała się matką, nie musiała latać po sklepach. Sprawdzić, czy matce wystarczy leków, i tak dalej, i tak dalej. Lady Rose bez wątpienia przerabiała inny scenariusz, ale też na pewno miała co zrobić przed zniknięciem na cały tydzień.

- Pójdę trochę się odświeżyć - powiedziała.

Kal wstał pierwszy, podał jej rękę i pomógł podnieść się z fotela.

Na ułamek sekundy ich ciała znalazły się niebezpiecznie blisko siebie. Pierś w pierś, stopa w stopę. Usta przy ustach, jak do pocałunku. Ułamek sekundy był wystarczająco długi, żeby nozdrza Lydii wypełnił zapach Kala. Zapach ciepłej skóry, świeżo upranego płótna. Plus las. Tak pachnie, kiedy idziesz leśną dróżką, słyszysz cichy szelest zeschniętych liści pod stopami, cichutki trzask łamanych gałązek...

Na szczęście od tego wszystkiego nie zdążyło jej zakręcić się w głowie. Kal ją puścił, miała możliwość natychmiastowego przemieszczenia się w rejony bezpieczniejsze, czyli do pokoju, który oddano jej do dyspozycji. Stamtąd pomknęła prosto do łazienki, a dokładniej do lustra. Wyglądała okropnie. Włosy potargane, na policzku czerwony ślad, gdzie opierała się o poręcz fotela. Najgorszy był jednak zamęt w głowie. Najchętniej wsadziłaby ją pod zimny prysznic i trzymała długo, bardzo długo, jednak czas naglił, spryskała więc tylko twarz chłodną wodą. Potem pociągnęła usta szminką, włosy zebrała z tyłu i tuż nad karkiem spięła klamrą, którą znalazła w torbie.

Jak przed każdym publicznym występem w roli lady Rose jeszcze raz spojrzała na siebie krytycznym wzrokiem. Wygładziła niepotrzebne fałdki na spodniach, poprawiła złoty łańcuszek na szyi, jednocześnie powtarzając sobie w duchu swoją mantrę. Spokojnie, Lydio, niczym się nie przejmuj. To tylko twoja dodatkowa praca.

Kiedy wróciła do kabiny i spojrzała na Kala, swoją mantrę o spokoju i dodatkowej pracy mogła wyrzucić za okno. Chociaż Kal niczego nadzwyczajnego przecież nie zrobił. Po prostu wstał z fotela i uśmiechnął się.

Na tym właśnie polegał problem. Kal nie musiał niczego robić, żeby jej serce zabiło szybciej. Wystarczyło, że był. Po prostu istniał jak otaczająca nas przyroda.

Podprowadził ją do stołu, obok którego czekała na nich Atiya. Stół był przykryty białym obrusem z adamaszku, do tego srebra i kryształy. Kiedy Lydia usiadła, Kal zaproponował wino. Podziękowała, choć miała wielką ochotę na coś mocniejszego, niestety groziło to dodatkowym zamętem w głowie. Wystarczy to, co już tam jest.

- Lucy napisała, że jesteś kuzynem jej męża - powiedziała, nabierając na widelec kawałek ryby. - Też jesteś dyplomata?

- Nie, w żadnym razie - odparł Kalil. - W Ramal Hamrahn jestem persona non grata, tak samo jak mój dziadek i ojciec.

Niedobrze. Chciała zapytać o coś bezpiecznego, on miał odpowiedzieć miło, bez emocji, coś w stylu:

- Jak leci?

- Świetnie.

A oto właśnie się dowiedziała, że Kal i jego przodkowie są w tej rodzinie czarnymi owcami. Dlaczego? Niestety, nie wypadało zapytać...

- Nawet na terenie londyńskiej ambasady byłem osobą niepożądaną, dopóki nie pomogłem Lucy podczas jednej z akcji charytatywnych.

No, już lepiej. Dobroczynność. Stałe zajęcie lady Rose, temat bardzo bezpieczny.

- Pomagasz Lucy?

- Zdarzyło mi się tylko raz. Trzeba było przetransportować rzeczy dla ofiar trzęsienia ziemi. Zaproponowałem przerzut samolotem.

- Samolotem twojego ojca?

- Nie. Latanie, Rose, to jak prowadzenie samochodu. Kiedy dostajesz licencję pilota, nie masz już ochoty prosić ojca, żeby dał ci polatać swoim starym pudłem. Chcesz mieć coś nowego, lśniącego, coś własnego.

- I ty masz?

Na pewno o wiele większy, pomyślała. I coś jeszcze przyszło jej do głowy. Kal powiedział, że w jego rodzinie niczego nie traktuje się poważnie. A jest pilotem. Latanie samolotem to nie jazda na hulajnodze. Wymaga pracy mózgu, poświęcenia, wkładu ciężkiej pracy.

- Czyli okłamałeś mnie, Kal.

- Ja?!

- Tak, ty. Mówiłeś, że cała twoja rodzina to luzacy. A ty jesteś pilotem. Nie wyobrażam sobie, żeby można było prowadzić samolot kompletnie na luzie.

- Fakt. Przyznaję, pewne rzeczy traktuję serio. Bardzo serio. Na przykład... rozrywki. W tym tygodniu twoje rozrywki. Lucy sugerowała wyprawę na ryby.

- Na ryby... - powtórzyła bez odrobiny entuzjazmu. - Wolałabym iść na bazar. Lucy napisała mi, że mam go koniecznie odwiedzić. Bazar to jedwabie, złoto, przyprawy korzenne...

- Także niemiłosierny upał, tłum ludzi robiących ci zdjęcia komórką, o paparazzich nie wspominając. A ty podobno tęsknisz za spokojem i prywatnością.

- Zgadza się, choć jeśli chodzi o paparazzich, nie potępiam ich w czambuł. Po pierwsze to ich praca, a oni, tak jak większość mężczyzn, mają żony i dzieci, które trzeba wykarmić i wykształcić. A po drugie, Kal, kiedy prowadzi się działalność dobroczynną, popularność w mediach bardzo się przydaje. Dla dobra sprawy trzeba o nią dbać. Cała sztuka polega na tym, żeby robić to umiejętnie. Pokazywać się, ale nie podsuwać im czegoś tak sensacyjnego, po czym dojdą do wniosku, że już niczym ich nie zaskoczysz i przestaną się tobą interesować. Reasumując, Kal, paparazzi mnie nie przerażają, a poza tym jestem kobietą i nie wyobrażam sobie, żebym podczas pobytu w takim kraju nie wybrała się na bazar. A wracając do ciebie. Wiem, że masz licencję pilota. Ale prawo jazdy też na pewno masz?

- Oczywiście!

- I jaki był twój pierwszy wóz? Ferrari? Porsche?

- To banalne. Zdecydowałem się na morgana.

- Morgan? Nie znam.

- Niemożliwe! - Kal był wyraźnie zaskoczony. - Przecież to samochód legenda! Często pokazują go w filmach o drugiej wojnie światowej. Taki mały sportowy wóz, dwuosobowy, z otwartym nadwoziem. Mój ojciec zapisał mnie na listę oczekujących, kiedy miałam dwanaście lat.

- Na listę oczekujących?!

- Taki samochód to rarytas, Rose. Wszystko ręczna robota. Dostarczono mi go, kiedy miałem lat siedemnaście. Mam go do dziś, chucham na niego i dmucham, bo na następny muszę poczekać. Trzymam go w Londynie. Kiedy jestem we Francji, jeżdżę renault, we Włoszech lancią, a w Nowym Jorku - Kal uśmiechnął się szeroko - biorę tak-sówkę.

- A w Ramal Hamrahn?

W tym momencie zachowanie uśmiechu na twarzy kosztowało Kala niemało wysiłku.

- Na przykład... starym land-roverem. A ty czym jeździsz? - spytał, pragnąc odwrócić uwagę od siebie.

- Ja... - Rose na moment zawiesiła głos - Jeżdżę... czerwonym...

- Czerwonym? Znakomity wybór.

- Tak sądzisz? Cieszę się, że zyskałam twoją aprobatę. - Wypowiadali swoje kwestie ze śmiertelną powagą, choć powietrze było rozedrgane od powstrzymywanego śmiechu. - Wymieniłeś kilka miast, Kal. Czy w każdym z nich masz swój dom, jakąś willę czy apartament?

- Tylko w Londynie mam dom, zresztą niezbyt duży, ale w innych miastach zawsze mam gdzie się zatrzymać. Moja matka, pierwsza żona ojca, jest Francuzką.

Była aktorką, ma dom w Nicei i apartament w Paryżu. Druga żona ojca, angielska arystokratka, mieszka na zmianę w Londynie, w dzielnicy Belgravia, albo w Gloucestershire. A trzecia żona ojca, też już eks, jest Amerykanką. Odziedziczyła fortunę. Ma apartament w Nowym Jorku i dom w Hamptons.

- Zatrzymujesz się u każdej z nich? Matki i obu macoch?

- Oczywiście. Przecież to moja rodzina. Mam mnóstwo sióstr i braci.

- A u kogo mieszkasz we Włoszech, gdzie jeździsz lanią?

- Ojciec, kiedy podrywał pewną włoską hrabinę, kupił pałacyk w Portofino. Romans nie trwał długo, hrabina szybko zorientowała się, że akurat ten mężczyzna nie jest stały w uczuciach, ale ojciec zatrzymał pałacyk. Powiedział, że człowiek, który ma tyle byłych żon, kochanek i dzieci, musi mieć cichą przystań tylko dla siebie. Przystań ma, ale nie cichą. Miejsce jest zbyt atrakcyjne. Rzadko kiedy jest tam sam.

Lydia uśmiechnęła się, ale jakoś tak melancholijnie.

- Z tego, co powiedziałaś, wynika, że twój ojciec wcale nie lubi być sam. Czasami człowiekowi trudno dorosnąć.

- Czasami człowiek chce ciągle czegoś nowego.

Nie dotyczyło to Kala, przynajmniej jeśli chodzi o życie prywatne, ale jego dziadek i ojciec, typowi playboye, zmieniali kobiety jak rękawiczki, co wielce radowało tabloidy i plotkarskie programy telewizyjne. Kal miał tego przedsmak, kiedy jego jedynym po-

ważnym związkiem bulwarowa prasa entuzjasmowała się przez osiemnaście miesięcy. Wtedy właśnie doszedł do wniosku, że taki styl życia kompletnie mu nie odpowiada.

- Masz swój dom w Ramal Hamrahn?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Większość ludzi w tym momencie zaczęłaby opowiadać o dziadku, rodzinie, prywatnym życiu.

- Mam w stolicy apartament z widokiem na stary port, trudno jednak nazwać to prawdziwym domem, miejscem darzonym sentymentem. Ale jest w Ramal Hamrahn takie miejsce, z którym cała moja najbliższa rodzina związana jest uczuciowo. Dom ze starej fotografii. Ta fotografia, odkąd sięgnę pamięcią, zawsze wisiała na ścianie u dziadka. Nasze rodzinne gniazdo.

Miejsce, do którego dziadek rozpaczliwie pragnie powrócić i tu wydać swoje ostatnie tchnienie. Kal gotów był zrobić wszystko, żeby spełnić jego życzenie. Z tym, że w to „wszystko”, jak dotąd, wcale nie musiał wkładać nadludzkiego wysiłku. Obiad w towarzystwie lady Roseanne Napier wcale nie okazał się katorgą.

- Od dawna nikt tam nie mieszka - po chwili dodał w zadumie.

- To bardzo smutne - skomentowała cicho i zamilkła.

Było to pełne powagi milczenie, jakby doskonale wyczuwała ogarniającą go pustkę, poczucie zagubienia. Zaczynał rozumieć, dlaczego lady Rose nawet w ludziach, którzy nigdy się z nią nie zetknęli, budzi tak wielką sympatię. Na jej twarzy wypisana była wielka wrażliwość. Po prostu takiej osobie się ufało. Jeszcze sekunda i opowiedziałby jej wszystko, co przecież nie miałoby sensu. Na szczęście lady Rose ubiegła go, występując z prośbą, żeby opowiedział jej o swoim rodzeństwie.

A więc opowiedział.

- Mam jedną rodzoną siostrę, o rok ode mnie młodszą, poza tym pięć sióstr przyrodnich i trzech braci przyrodnich. Do tego dochodzą dzieci byłych żon ojca z innych związków, w sumie sześć, nie, siedem sztuk, do tego dolicz pół tuzina żon lub mężów wyżej wymienionych. Ze wszystkimi, nawet jeśli między nami nie ma żadnego pokrewieństwa, jestem bardzo żyty.

- Czyli w sumie... - Lydia szybko policzyła na długich, szczupłych palcach - szesnaście plus sześć?

- Taki jest stan aktualny, muszę jednak dodać, że Sarah, moja angielska macocha, wyszła za mąż i spodziewa się dziecka.

Lydia aż usiadła wygodniej w krześle, przetrawiając tę rewelację, dla niej szczególnie ekscytującą, była przecież jedynaczką.

- A pamiętasz imiona ich wszystkich? - spytała z nutą sceptycyzmu.

- Oczywiście. Jesteśmy przecież rodziną. Moja siostra ma na imię Adele. Wyszła za lekarza, Michela, mają dwoje dzieci, Alberta i Nicole. Moja matka ma ze swoim drugim mężem też dwoje dzieci...

Lydia słuchała zafascynowana. Kal w trakcie jedzenia opowiedział jej o rodzinie we Francji, w Anglii i w Ameryce. Wielkiej rodzinie, do której należały także nieślubne dzieci ojca Kala. W pewnym momencie jednak uświadomiła sobie, że Kal o sobie, o swoim życiu osobistym, nie powiedział ani słowa. Oczywiście nie podpytywała go, poza tym z tego, co powiedział, można było się zorientować, jakim jest człowiekiem: bardzo rodzinnym, dla najbliższych bardzo serdecznym.

Kiedy przestali się już śmiać z wyczynów jednej z najmłodszych pociech podczas jakiegoś przyjęcia, Lydia westchnęła melancholijnie.

- Cudownie jest mieć tak wielką rodzinę.

- Owszem. A zapoczątkował to mój dziadek. Pięć żon, dziesięcioro dzieci. Mam wyliczyć ich imiona? Czy odłożyć na później, na jakiś deszczowy dzień, kiedy będziemy usychali z nudów?

- Może i tak. Mam nadzieję, że deszcze padają w Ramal Hamrahn!

- Raczej rzadko.

Do kabiny weszła Atiya. Sprzątnęła ze stołu i postawiła na nim tacę ze słodyczami, ciasteczkami, orzechami i owocami.

- Czego się państwo napiją? - spytała. - Kawy czy herbaty?

- Lady Rose powinna popróbować naszej tradycyjnej herbaty z mięty - zarządził Kal. - Z żadnej torebki.

Gdy Atiya wyszła, Kal wskazał ręką tacę.

- Proszę, częstuj się, Rose.

- Dziękuję. Na pewno wszystko jest pyszne, ale nie jestem już w stanie czegokolwiek przełknąć. Mam nadzieję, że w Bab el Sama macie basen. Jeśli będę tyle jadła, po powrocie do domu nie zmieszczę się w moich ubraniach.

- Nie rozumiem - rzekł z uśmiechem - dlaczego wszystkie kobiety chcą być chude jak patyki. - Nie nalegał jednak, tylko wziął sobie daktyla, a po chwili poprosił: - Opowiedziałem ci o mojej rodzinie. Teraz twoja kolej, Rose.

Jej kolej... Na szczęście weszła Atiya i zaczęła nalewać herbatę. Lydia potrzebowała tych kilku minut, żeby wziąć się w garść i obmyślić odpowiedź.

- Przecież wszyscy o mnie wszystko wiedzą, Kal.

Był zaskoczony. Kiedy opowiadał o swojej rodzinie, słuchała z wielkim zainteresowaniem. Była rozbawiona, a teraz, gdy poprosił, żeby opowiedziała o swojej, całe rozbawienie znikło. Jakby nagle zgasło światło.

- Wiem to, o czym piszą w gazetach, poza tym trochę opowiadała mi o tobie Lucy.

Wiedział, że rodzice Rose zostali zamordowani, kiedy miała sześć lat. Wychowywał ją apodyktyczny dziadek, który tak się przejął nagłówkami w gazetach, że w rezultacie sam z niej zrobił „anioła tłumów”.

- Czyli wiesz wszystko, Kal. - Uśmiechnęła się promiennie i podniosła filiżankę do ust.

Kal zapatrzył się na nią. Ta kobieta z długimi jasnymi włosami, porcelanową cerą i oszłamiająco błękitnymi oczami przypominała mu renesansową damę ze starego portretu. A jej usta... Pełne, wilgotne wargi na moment przywarły do brzegu naczynia. Wypiła łyk, do dolnej wargi przyczepił się mały listek. Rose dyskretnie zlizwała go czubkiem języka. A Kal na moment wstrzymał oddech.

- Słodka - stwierdziła. - Dla mnie nowość. Nigdy nie słodzę herbaty. Ale bardzo dobra. Dziękuję. - Skończyła pić i ziewnęła, co wypadło trochę sztucznie. - Przepraszam, Kal, mam za sobą ciężki dzień. Prześpię się trochę.

- Ależ oczywiście!

Wstał i odprowadził ją do drzwi, nie mogąc pozbyć się wrażenia, że Rose po prostu ucieka, jakby bała się mówić o swojej rodzinie. On, zresztą ku swemu zaskoczeniu, zrobił to bez żadnych zahamowań. Zwykle był bardzo powściągliwy. Nauczył się tego jeszcze

jako chłopiec, kiedy byle informacja przekazana koledze docierała do jego rodziców, by na koniec nieodmiennie trafić do prasy w wersji wypaczonyj przez ludzi, którzy utrzymywali się z plotek o celebrytach.

Była już w drzwiach, jednak przystanąła i zwróciła się twarzą ku niemu. Oboje znieruchomieli. Przez chwilę stali tak w milczeniu naprzeciwko siebie. Dwoje ludzi, którzy razem spędzili ten wieczór. To „razem” było spotęgowane faktem, że zamknięci zostali w żelaznym pudle wysoko nad ziemią, odizolowani od reszty świata.

Kal zdawał sobie sprawę, że inny mężczyzna na jego miejscu pocałowałby lady Rose. A inna kobieta na jej miejscu odwzajemniłaby pocałunek. Kto wie, czy skończyłoby się na pocałunku. Pociągała go, on ją też, to było jasne. W innej sytuacji iskierka przeszłaby w płomień. Ale nie w tej. Miał do czynienia z lady Roseanne Napier, „aniołem tłumów”, a przecież obiecał dziadkowi, że będzie zmierzał prosto do celu. Bez żadnych zakłóceń.

- Dziękuję za miły wieczór. - Pocałował ją w rękę. - Miłych snów, Rose.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lydia, choć była wykończona, nie mogła zasnąć. Powieki w dół, powieki w górę, znów w dół - bez skutku. Wszystko z powodu tej dłoni, którą pocałował Kal. Musiała z całej siły przyciskać ją do łóżka, żeby nie poderwała się, nie poleciała do ust. Bo te usta tak bardzo chciały dotknąć miejsca, którego dotknęły wargi Kala.

Poczuć ich smak...

Jego smak.

Pocałował bardzo delikatnie, zaledwie musnął wargami jej palce, a one i tak piekły, jakby oblała się wrzątkiem. Całe zresztą ciało było w szoku. Nic więc dziwnego, że nie mogła zasnąć. W końcu zdesperowana wyskoczyła z łóżka, zdarła z siebie ubranie i stanęła pod prysznicem. Namydliła się żelem o delikatnym cytrynowym zapachu. Najpierw nastawiła wodę ciepłą, potem coraz zimniejszą i zimniejszą, aż zaczęła dygotać. Co z tego, kiedy jednocześnie i tak miała wrażenie, że cała płonie.

Przecież on tylko dotknął ustami jej dłoni!

Niestety, suma jej odczuć była obezwładniająca i wykańczająca. Trzeba więc koniecznie czymś się zająć, żeby nie zwariować.

Może poczytać? Otuliła się puszystym szlafrokiem, przyczesła wilgotne włosy. Pogrzebała w torbie i wyjęła książkę jednej ze swoich ulubionych autorek. Usiadła na łóżku i oparta wygodnie o poduszki starała się usilnie zagłębić w lekturze. Niestety, z literami działo się coś przedziwnego. Ożyły. Przemieszczały się, skupiały, w rezultacie Lydia na białej kartce zobaczyła wyraźnie usta Kala. Z tą leciutko opadającą, tak nieprawdopodobnie zmysłową dolną wargą.

Jęknęła. Książka poleciała na podłogę. Lydia usiadła po turecku, wyprostowała plecy i zaczęła oddychać powoli, głęboko, z nadzieją, że pozycja jogi pomoże odzyskać choć w minimalnym stopniu równowagę. Powody do jej zachwiania były. Nadmiar feromonów w ograniczonej przestrzeni samolotu, przedtem skok adrenaliny podczas starcia z reporterami i szok na widok Kalila Al-Zakiego, którego osoba burzyła jej misterny plan działania. Nie wspominając już o tym, że ów Kalil Al-Zaki był wyjątkowo atrakcyj-

nym mężczyzną, jak również o tym, że zaczął ją leciusięko podrywać, czyli aż do tego stopnia przejął się powierzonym mu zadaniem.

Nic dziwnego, że litery w książce zaczęły skakać. Bo do tego wszystkiego należy jeszcze dołożyć nutkę melancholijną. Kiedy zasiedli razem do obiadu w przestworzach, Lydia zamierzała prowadzić typową, doskonale obojętną rozmowę towarzyską. Tymczasem Kal swoimi dowcipnymi historyjkami rozśmieszył ją prawie do łez, choć jednocześnie poczuła ukłucie zazdrości. W jego wielkiej ciepłej rodzinie może i panuje chaos, ale dla Lydii, jedynaczki o bardzo ograniczonej liczbie krewnych, ten chaos był jednym z uroków tej rodziny. Każdy chciałby taką mieć...

Nagle uświadomiła sobie, że Kal nie opowiadał o całej rodzinie. Nie wspomniał o nikim z Ramal Hamrahn. Na pewno związane jest to z tym, co powiedział jej wcześniej. Jego dziadek, ojciec i on sam są na dworze emira Ramal Hamrahn osobami niepożądanymi.

Dlaczego? Przed prawdziwą lady Rose na pewno by się otworzył do końca. Rose, jak wiadomo, ma niesamowity wpływ na ludzi. Ale nie fałszywa Rose. Jej nie powiedział. Mało tego, zapytał o jej rodzinę, czyli rodzinę lady Rose, dlatego Lydia uznała, że najbezpieczniej będzie się wycofać.

Nagle usłyszała ciche pukanie do drzwi, zaraz potem miły, melodyjny głos stewardesy:

- Proszę pani, za piętnaście minut lądujemy.

- Dziękuję, Atiyo.

Szybko ubrała się i poprawiła dyskretny makijaż. Rose na pewno by chciała, żeby jej zdjęcie pojawiło się w gazetach, na tym zdjęciu jednak nie powinna wyglądać tak, jakby dopiero co wstała z łóżka.

Kiedy weszła do kabiny i usiadła, Kal uniósł się w swoim fotelu. Wyraźnie chciał pomóc jej zapiąć pasy. Dała mu znak ręką, że nie trzeba, poradzi sobie sama. Udało jej się to zrobić całkiem zręcznie. Zapięła, złożyła ręce na podolku i spojrzała w okno, żeby nie patrzeć na Kalę. Zadbany i elegancki wyglądał bardzo atrakcyjnie, a po ośmiu godzinach w powietrzu, pozbawiony krawata, cudownie rozczochrany i gwałtownie potrzebu-

jący maszynki do golenia, był po prostu cudowny. Takiego faceta każda kobieta chciałaby po obudzeniu zastać obok siebie w łóżku.

Dlatego Lydia pilnie studiowała widok za oknem. Samolot schodził coraz niżej, widać było już rozświetloną stolicę, Rumaillah. Ulice, domy. W pewnym momencie uwagę Lydii zwrócił kompleks budynków z podświetlonymi kopułami, otoczony wysokim murem i usytuowany na najwyższym wzniesieniu na terenie miasta.

- Kal, co to jest? - spytała.

- Pałac emira.

- Jaki wielki!

- Na pewno nie taki duży jak Buckingham Palace. Poza tym tam masz wszystko pod jednym dachem, a tutaj oprócz pałacu emira są osobne pałace dla jego żon, dzieci i innych członków rodziny. W pałacu emir ma też biura, jest tam również sala, gdzie zbiera się *majlis*, czyli parlament. W tej sali emir przyjmuje swoich poddanych. Każdy ma prawo przyjść do niego, poprosić o pomoc albo wstawić się za kimś.

- Podoba mi się to. Głowa państwa dostępna dla wszystkich.

- Owszem, choć w dzisiejszych czasach nie jest to już tak istotne jak kiedyś. Przeszliśmy długą drogę od namiotów na pustyni.

Uderzyło ją, że powiedział „my”. Był *persona non grata* na dworze emira, ale czuł więź z tym krajem, czuł się jednym z nich. Miała wielką ochotę o tym porozmawiać, był to jednak temat bardzo delikatny. Nie wypadało pytać, można było tylko czekać, aż Kal sam go poruszy.

Zapytała go więc o coś innego:

- Powiedziałeś, że są tam pałace dla żon. Ile ma ich emir?

- Jedną. W dzisiejszych czasach wielożeństwo to rzadkość. Kiedyś było inaczej. Gdy mężczyzna ginął w walce, jego brat przyjmował wdowę z dziećmi do swojej rodziny. Z biegiem lat wielożeństwo stało się oznaką bogactwa. Ale dziś, jak powiedziałem, zdecydowana większość poprzestaje na jednej żonie... - Po twarzy Kala przemknął uśmiezek. - Mój dziadek i ojciec są nietypowi.

- Chwileczkę! Z tego, co mówiłeś, wynika, że wcale nie mieli w tym samym czasie po kilka żon!

- Mieli. Ale tylko z jedną brali ślub.

- A... rozumiem. A ty, Kal?

- Ja? Chcesz wiedzieć, ile mam żon? Ani jednej. Ale ja zwykle startuję z opóźnieniem.

Rozmowa się urwała, ponieważ samolot wylądował, i to prawie bez wstrząsu.

Przed wyjściem lady Rose powinna złożyć wizytę w kokpicie. Kiedy samolot stał na twardej ziemi, Lydia nie miała już żadnych oporów. Podziękowała załodze za wspa-
niały lot, wyszła z samolotu i wciągnęła do płuc ciepłe wilgotne powietrze znad zatoki.

Niestety, podróż jeszcze nie dobiegła końca. Bagaże właśnie przewożono do heli-
koptera.

- Gotowa? - spytał Kal.

Lydia otworzyła usta. Niestety, już panikowała. Nie była w stanie wydusić z siebie
słowa, a to przez te szczękające zęby, które stukwały jak kastaniety.

- Możesz jeszcze zmienić zdanie, Rose.

Nie! Nie miała najmniejszego zamiaru być aż tak bardzo żalosna. Ruszyła przed
siebie krokiem nieco chwiejnym, na szczęście ręka Kala na jej plecach miała zbawienny
wpływ. Pomogła dojść do helikoptera, wsiąść i usiąść. Kal od razu, nie pytając o po-
zwolenie, sam zapiął jej pasy, potem krzyknął coś do pilota. Nie zrozumiała, ryk silnika
zagłuszał go skutecznie. Natomiast kiedy Kal nałożył jej słuchawki, przestała słyszeć co-
kolwiek.

- Tak dobrze? - spytał.

Odczytała to z ruchu warg, jako że pracownicy supermarketu wysyłani byli na kurs
języka migowego i odczytywania z ruchu warg.

- Ręce - powiedział Kal.

Nie bardzo wiedziała, o co chodzi, ale podała mu. Kal zamknął jej dłonie w swoich
silnych dłoniach.

Potężne śmigła nabierały prędkości. Lydia próbowała się uśmiechnąć, niestety było
o wiele gorzej niż w samolocie pasażerskim. Tu wszystko było tak blisko. W dole pas
startowy, przed nią tablica rozdzielcza, dosłownie w zasięgu ręki. Wmawianie sobie, że

właśnie wsiadła do autobusu numer siedem i jedzie do pracy, było niewykonalne w sytuacji, gdy helikopter unosił się coraz wyżej, a żołądek opadał.

Palce Lydii zacisnęły się kurczowo na palcach Kala, usta otwały się do krzyku.

Nie krzyknęły, bo Kal je zamknął. Pocałunkiem.

Najpierw powiedział:

- Zaufaj mi, Rose.

Potem pocałował. Był to gorący, bardzo zdecydowany pocałunek, skupiający na sobie całą uwagę Lydii. Poza tym czarodziej ski, bo pod jego wpływem paniczny strach błyskawicznie przerodził się w zachwyty.

Jak cudownie jest latać! Jak cudownie żyć!

Kal zauważył spłoszone spojrzenie Rose, kiedy po wyjściu z samolotu zobaczyła czekający na pasie startowym helikopter. Spanikowała, ale natychmiast uniosła głowę. Wyraz oczu uległ zasadniczej zmianie.

Teraz była w nich tylko i wyłącznie determinacja. Takiej lady Rose nie uchwycił żaden fotoreporter, całkiem innej damy niż utrwalony w świadomości wszystkich wizerunek łagodnej istoty, która ulega we wszystkim apodyktycznemu dziadkowi.

Dlatego już jej nie namawiał, by zmieniła zdanie, tylko poprowadził do helikoptera. Szła chwiejnym krokiem, dlatego kiedy wsiedli, krzyknął do pilota, żeby już ruszał. Nie było sensu bawić się w uprzejmości, przedstawiać i ścisnąć dłoń. Z tym można poczekać, aż dotrą do Bab el Sama.

A teraz trzeba było koniecznie zrobić coś, co odwróciłoby uwagę Rose od lotu. Wziął ją za rękę, ale kiedy paznokcie Rose wpiły mu się w palce, zrozumiał, że konieczne są bardziej radykalne środki.

Są dwa sposoby na histerię. Spoliczkować albo... pocałować.

Nie miał wyboru. Spoliczkowanie kogokolwiek, a co dopiero przerażonej kobiety, nie wchodziło w grę. Dlatego pocałował szybko i zdecydowanie. Tu nie chodziło o podryw, lecz o przetrwanie. Chciał całą uwagę Rose skupić na sobie, każdą jej emocję. Nawet oburzenie, gniew.

Wcale nie była oburzona.

Przez chwilę, oprócz pocałunku, nie działo się nic. Potem usłyszał cichutki jęk. Powieki Rose opadły, rozluźniła się, jej usta, miękkie i uległe, na moment przywarły do jego ust. Słodkie, ciepłe jak u dziewczyny, która całuje po raz pierwszy. A zaraz potem, gorące jak u upadłego anioła, rozchyliły się, namawiając do grzechu.

Jak długo trwał pocałunek? I sekundę, i minutę, i wieczność. Tylko sekundę, gdy przyciągnął Rose do siebie bliżej, minutę, gdy pocałunek stał się bardziej namiętny. Wieczność, kiedy jego hormony zaczynały pchać go w rejony, gdzie człowiek przestaje myśleć, a już w ogóle nie myśli o konsekwencjach.

Czyli tak samo jak dziadek, tak samo jak ojciec... Ludzie bez żadnych życiowych celów, bez kompasu, którzy całą swoją egzystencję podporządkowali egoistycznym zachciankom.

Ta myśl podziałała jak kubeł zimnej wody. Przypomniała Kalowi, kim jest, dlaczego tu jest i kazała się opamiętać.

Kiedy odsunął głowę, z ust Rose po raz drugi wydobył się cichutki jęk. Przez długą chwilę siedziała nieruchomo, potem jej powieki się uniosły powoli, jakby długie, jedwabiste rzęsy były bardzo ciężkie. Wargi poruszyły się. Nie słyszał, co mówiła, odczytał to z ruchu czerwonych warg, formułujących słowa bardzo starannie:

- Jeśli tak bardzo się boisz, Kal, trzeba było mi powiedzieć. Pojechalibyśmy samochodem.

Od dziesięciu lat występująca publicznie celebrytka doskonale wiedziała, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Posłużyła się żartem. Ze strachu drżał on, nie ona. Zasygnalizowała, że zdaje sobie sprawę, iż była to tylko akcja ratunkowa. Innymi słowy, sprawę można uznać za niebyłą.

Czego wcale nie chciał. Miał wielką ochotę znów przytulić ją do siebie i całować, póki chłodna Angielka nie rozpułynie się w nicość, a ta inna, pełna czułości i namiętności Rose, dotąd trzymana pod kloszem, wyrwie się na wolność.

Co z tego, że chciał? Ta kobieta nie powinna go w ogóle pociągać. Ich dalsze losy są już przesądzone. Rose, nawet jeśli odtrąci hrabiego, który zgodnie z wolą dziadka ma czekać na nią przed ołtarzem, i sama sobie kogoś wybierze, tym kimś na pewno nie będzie potomek pogardzanego banity. On natomiast kiedyś weźmie sobie żonę, ale na pew-

no nie będzie się kierować ową słynną chemią, która udając miłość, kradnie człowiekowi zmysły, kradnie całe życie. Po prostu dogada się z którymś z najpotężniejszych rodów w Ramal Hamrahn - Kassimi, Attiyah albo Darwish. Dadzą mu dziewczynę, co bardzo pomoże jego rodzinie w odzyskaniu należnej pozycji.

Ale przedtem to najważniejsze. Przywieźć dziadka z powrotem do Ramal Hamrahn.

Spojrzał w bok, na niebo. Nocne niebo, owa niczym niezmacona nieskończoność czarnego aksamitu poznaczonego diamentami gwiazd... Sycił tym widokiem oczy, póki nie wypełnił nim całej głowy, aż już na żadną inną myśl nie było w niej miejsca.

Lydia natomiast miała teraz tylko jedno życzenie: umrzeć, i to jak najprędzej. Nie dlatego, że Kal ją pocałował. Była zszokowana sobą. Nie szarpała się, nie próbowała z dzikim wrzaskiem złapać Kala za ramię i kazać mu się natychmiast zatrzymać.

Nie. W chwili, gdy zmysłowa dolna warga Kalila dotknęła jej ust, kompletnie zapomniała, że w tym właśnie momencie szklane pudło wzbija się w powietrze. Zapomniała o strachu, zapomniała o wszystkim. A kiedy przytulił ją do siebie i pocałunek przestał być terapią antyszokową, stając się po prostu gorącym pocałunkiem kochanka, objęła go bezwstydnie za szyję.

Było jej wszystko jedno, co sobie o niej pomyśli. A raczej o lady Rose. Był przecież pewien, że to ona tuliła się do niego i całowała tak zapamiętale, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata.

Całowaliby się tak bez końca, gdyby Kal nie odsunął głowy. Kiedy w końcu zebrała się na odwagę i otworzyła oczy, zobaczyła tuż przed sobą jego oczy. A w nich wypisany stan ducha Kala. Był wyraźnie zdezorientowany, a nawet wystraszony. Bardzo chciała mu powiedzieć, że nie ma powodu do paniki. Ona wcale nie jest lady Rose, tylko głupią idiotką, która przeżywa coś bardzo nietypowego. I najlepiej, żeby Kal zapomniał o wszystkim.

Niestety takie wyznanie było nie do pomyślenia. Musiała coś jednak zrobić, żeby ratować reputację lady Rose. Na szczęście istniało proste wytłumaczenie tej sytuacji, i to bardzo wygodne dla obu stron. Wpadła w panikę, nie wiedziała, co czyni. Albo on, gdy-

by przyjąć żartobliwą wersję Kala, że to niby on jest tchórzem. Jeśli go rozbawi, atmosfera się oczyści, będą udawać, że nic się nie stało.

Powiedziała mu więc to, co sobie wymyśliła. Mówiła powoli, bardzo wyraźnie, ale ze strony Kala nie było żadnej reakcji, po prostu spojrzał w bok. Czyli dowód, że nie wszyscy ludzie potrafią czytać z ruchu warg.

Trudno. Nagle zorientowała się, że nadal obejmuje go za szyję. Szybko opuściła rękę, a wtedy Kal powiedział coś, dając znak głową. Wyraźnie chciał, żeby Rose spojrzała na to, na co on patrzył przed chwilą. A to wcale dla Lydii nie było takie proste. Zdecydowanie wolała patrzeć na Kala, wtedy udawało jej się zapomnieć, że między nią a niebem jest tylko cienka ściana z pleksiglasu.

Kal uniósł znacząco brwi, mówiąc tym gestem:

- Nie bądź mięczakiem, Rose!

Więc przemogła się, powoli odwróciła głowę i spojrzała przez ścianę z pleksiglasu. Byli już daleko od rozświetlonego miasta i lotniska, wokół tylko niebo. Na tle czerni konstelacje gwiazd błyszcząły jak diamenty. No i Droga Mleczna, ten magiczny szal ze srebrzystego pyłu rozpostarty na niebie...

Cudowny, zapierający dech widok, a także pouczający, bo przypominał człowiekowi, jak bardzo jest mały i bezbronny, po prostu nie znaczy nic.

Lydia miała wielką ochotę wziąć Kala za rękę, razem z nim przeżywać chwilę uniesienia. Powstrzymała się jednak. Na taki odruch mogła pozwolić sobie Lydia Young, kasjerka z supermarketu. Co innego lady Rose. Dlatego nie piszcziała z zachwytu, nie łąpała Kala za rękę, tylko w milczeniu chłoneła cudowny dar, który Kal podsunął jej oczom. Patrzyła i patrzyła, czując pod powiekami zdradliwą wilgoć. Tylko dlatego, że niebo jest tak piękne...

Helikopter zaczął się zniżać. Ziemia witała ich feerią światła. Lydia najpierw zobaczyła jasno oświetlone łodzie przycumowane u ujścia szerokiej rzeki. Potem brzeg morski i szerokie zakole białego piasku, czyli plażę. Dalej domy kryte kopułami i arkady widniejące wśród koron starych drzew, a z tyłu, na tle nieba, czarne nieregularne sylwety gór oblane purpurą nadchodzącego brzasku.

Helikopter wylądował. Na pasażerów czekał dżip, Lydia jednak nie spieszyła się z wsiadaniem. Najpierw przeszła kawałek po pasie startowym, ku rzece. Czuła się szczęśliwa, wszak znów miała pod nogami twardą ziemię i oddychała normalnym powietrzem przesyconym solą, zapachem mokrego piasku i jeszcze czymś, czego nie potrafiła zidentyfikować.

- Pięknie tu... - powiedziała, kiedy obok niej pojawił się Kal. - I tak zielono. Myślałam, że będzie tylko piasek.

- Tu jest mikroklimat. Ojciec szejka Jamala, kiedy przed pięćdziesięcioma laty objął panowanie, od razu zaczął realizować plan intensywnego zadrzewiania doliny, przez którą płynie rzeka.

- Czyli chwala mu.

- Nie wszyscy tak uważają. Twierdzą, że z tego powodu jest więcej opadów.

- A czy to tak źle? - spytała z uśmiechem, rozglądając się dookoła w poszukiwaniu źródła słodkiego ciężkiego zapachu, którym przesycone było powietrze. - Kal, co tak pięknie pachnie?

- Jaśmin. - Podeszedł do krzaka, zerwał ukwieconą gałązkę i z ukłonem podał ją Lydii. - Witam panią w Bab el Sama, lady Rose.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lydii, kiedy odbierała gałązkę obsypaną pachnącymi białymi kwiatkami, nie umknął uwadze fakt, że Kal zwrócił się do niej per lady. Czyli jest dobrze, bowiem „lady” oraz uprzejmy, bezosobowy ton Kala oznaczały bezproblemowy powrót do poprzednich relacji, na poły oficjalnych, przypominających relacje służbowe. A ten jeden pocałunek można śmiało puścić w niepamięć, tym bardziej że miał charakter terapeutyczny.

- Wsiadamy, Rose? Bagaże są już w dziapie, a pilot nie może startować, dopóki stoimy na pasie.

Lydia spojrzała na dziapa i na kierowcę w długiej białej szacie. Widok niepociągający. Tyle godzin spędziła na siedząco, teraz wreszcie mogła rozprostować nogi i wcale nie miała ochoty znów nieruchomieć na fotelu.

- Może byśmy się przeszli, Kal? Czy to daleko?

Powiedział coś po arabsku do kierowcy, który pokręcił przecząco głową i wskazał ścieżkę między drzewami.

Lydia, przypatrująca się tej scenie, uświadomiła sobie, że Kal spytał kierowcę o drogę, co oznaczało, że tak samo jak ona jest tu po raz pierwszy. Dziwne... A może i nie, mówił przecież, że ma na dworze królewskim status *persona non grata*. On i jego najbliższa rodzina, i to od trzech pokoleń. Kal nigdy więc nie został tutaj zaproszony, by spędzić wspaniałe lato z kuzynami i kuzynkami. Szkoda, przecież to wymarzone miejsce na wakacje.

- Trzeba iść ścieżką przez ogród - powiedział Kal. - Nie jest ci zimno?

- Żartujesz!

Rose mówiła, że w porównaniu z Londynem o tej porze roku w tych stronach jest bardzo ciepło. Fakt, bo powietrze było wprost balsamiczne.

Zauważyła, że Kal zmarszczył brwi. Dlaczego? Nietrudno zgadnąć, odpowiedziała przecież w stylu Lydii, jako że walnęła mu: „Żartujesz?!”. Co prawda daleko jej było do szokujących odzywek Elizy Doolittle z „Pigmaliiona”, niemniej dała plamę. Była zmęczona podróżą, zapomniała, że ma wciąż udawać lady Rose. A może podświadomie miała już tego dość?

- Jest w sam raz, Kal. Ani za ciepło, ani za zimno, Jeśli nie masz ochoty na spacer, jedź. Pójdę sama.

- Sama? A jeśli zabłądzisz? Co ja powiem Lucy, kiedy trzeba będzie wszcząć oficjalne poszukiwania?

- Lucy nie musi o tym wiedzieć.

- Żartujesz!

A co to? Czyżby ją przedrzeźniał? Natrząsał się, bo wie, kim ona jest naprawdę?!

- Nie, nie żartuję - powiedziała zdławionym głosem, jednocześnie uspokajając siebie w duchu. Nie panikuj, Lydio, to tylko twoje nieczyste sumienie natrząsa się z ciebie.

- Nie? W takim razie powiem ci, jak to wygląda. Najpierw włącza się sygnał alarmowy i stawia wszystkich ochroniarzy na nogi. Powiadamia się kancelarię emira, kancelaria wzywa waszego ambasadora...

- W porządku! - Ze śmiechem uniosła ręce w geście kapitulacji. - Bardzo proszę, pan prowadzi, panie Al-Zaki.

Schody, po których musieli zejść, oraz ścieżka wśród drzew były oświetlone, mimo to Kal wsunął rękę Lydii pod swoje ramię. Nie protestowała. Lady Rose na pewno zawsze ktoś prowadzi, podtrzymuje, jakby była figurką z porcelany. Poza tym to trzymanie Kala pod rękę bardzo jej odpowiadało. Mogłaby tak iść z nim i iść przez cały tydzień tą ścieżką wijącą się wśród drzew i krzewów, wśród cudnych zapachów, ponieważ wzdłuż ścieżki wysadzono zioła. Lawendę, szałwię, majeranek i wiele innych, nieznanych Lydii.

W panującej ciszy słyhać tylko było cichy szmer wody w stawie, czasami coś pluśnięło, ryba, a może żabka. Wśród drzew co jakiś czas pojawiały się tajemnicze arkady i altany z bogatymi zdobieniami, a nad koronami drzew kopuły i wieżyczki, które widziała już z góry, z helikoptera.

Jak w „Księżce tysiąca i jednej nocy”. Będzie miała o czym opowiadać swoim dzieciom i wnukom. Szkoda tylko, że przeżywa tę przygodę nie jako Lydia Young, lecz jako swoje słynne alter ego.

Dziwne, że nagle zaczęło jej to przeszkadzać. Jest przecież profesjonalistką, i to od wielu lat. Wystarczyło, że jej zdjęcie jako lady Rose ukazało się w gazecie, i natychmiast dostała pierwszą propozycję. Poproszono, żeby udawała lady Rose podczas uroczystego

zapalenia świątecznych świateł w mieście. Rada miejska cięła koszty, więc nie stać jej było na ściągnięcie autentycznej celebrytki.

W pracy, choć ma identyfikator z wypisanym wołami imieniem, klienci najczęściej zwracają się do niej per Rose. Lydia, co tu ukrywać, wcale nie czuła się z tego powodu nieszczęśliwa. Skąd więc ten bunt? Dlaczego tak bardzo by chciała, żeby Kal, patrząc na nią, żywcem zdjętą skórę z Rose, widział jednak Lydię?

Wiedział, że to ona. Nie Rose, a Lydia Young. To ona umiera ze strachu, kiedy samolot wzbija się w powietrze, to ją Kal trzymał za rękę. Całował. Lydię, nie Rose...

Spojrzała na różowiejące niebo. Świt, a jej się wydawało, że to środek nocy. No tak, polecili na wschód, więc czas przesunął się cztery godziny do przodu.

- To już tutaj - powiedział Kal, nakierowując ją na jedną z rezydencji, jak pozostałe z mozaiką na ścianach i smukłymi arkadami, zwieńczoną kopułą z charakterystycznym ornamentem.

Brama była otwarta. Przeszli przez wypielegnowany trawnik, na którym stały wielkie trzcinowe fotele zarzucone miękkimi poduszkami. Kal przystanął, Lydia poszła dalej, na taras wyłożony glazurowanymi płytkami. Oparła się o kamienną balustradę, spojrzała w dół na strome zbocze, potem w niebo. Po chwili usłyszała kroki, ktoś podszedł i otulił ją czymś bardzo miękkim.

- Przeziębisz się, jak będziesz tak tu stała, Rose - powiedział Kal, też wsparty o balustradę.

- Z tego też musiałbyś tłumaczyć się Lucy?

- Powiedziałbym jej prawdę, a mianowicie że pewnej nadzwyczaj upartej osobie zachciało się podziwiać świt, choć było chłodno. Za nic nie chciała wejść do domu, musiałbym zaciągnąć ją tam siłą. Lucy nie miałyby do mnie żadnych pretensji. Co innego emir. Byłby święcie przekonany, że specjalnie tak wszystko zorganizowałem, byś stała w zimnie, a potem dostała zapalenia płuc, a wszystko tylko po to, żeby Jego Wysokość znalazł się w niezręcznej sytuacji.

Niby żart, zabrzmiało to jednak bardzo niewesoło.

- Dlaczego miałbyś tak sobie pomyśleć, Kal? I dlaczego zawsze mówisz o nim emir albo Jego Wysokość? Przecież szejek Jamal jest twoim wujem, prawda?

- Rose, o ile się nie mylę, chciałaś podziwiać wschód słońca.

Czyli, innymi słowy, to nie twoja sprawa.

Zapadła cisza. Lydia i Kal patrzyli, jak ciemność ustępuje miejsca słońcu. Było jeszcze nisko, tuż nad linią horyzontu, ale już wysyłało całą kaskadę barw odbijającą się w rzece i morzu. Karmin, potem jasny róż, na koniec ciekłe złoto. Było coraz jaśniej. Okazało się, że ciemne plamy na rzece to *dhow*, tradycyjne łodzie arabskie wśród nowoczesnych jachtów, a na przeciwległym stromym brzegu rzeki było większe skupisko domów, czyli miasteczko z bazarem, po którym kręcili się już ludzie.

- Kal, czy to jest...

- Tak. Bab el Sama. Brama do nieba. A teraz zapraszam na herbatę.

Wziął ją pod łokieć i poprowadził do pokrytej arabeskami altany, tak ślicznej, że samo słowo „altana” wydawało się zbyt banalne na określenie czegoś, co na pewno wy-
czarował dżin z lampy Alladyna.

W bajkowej altanie czekał na nich służący. Powitał ich ukłonem i słowami:

- *Assalam alaykum, sitti. Marhaba.*

Lydia spojrzała na Kala z niemą prośbą o przetłumaczenie.

- Powiedział: pokój wam, pani. Witajcie!

- A co powinnam odpowiedzieć?

- *Shukran. Alaykum assalam.* Dziękuję. I pokój wam.

Powtórzyła jego słowa, służący uśmiechnął się, skłonił jeszcze raz i wyszedł z altany.

Lydia usiadła na trzciniowym fotelu, z rozkoszą wsuwając się między miękkie poduszki w jedwabnych poszewkach. Kal zdjął serwetkę z koszyczka, w którym ukrywały się ciepłe croissanty.

- Głodna?

- Kal, przecież od wyjazdu z Londynu nic tylko jem i jem! Ale... - croissanty pachniały wyjątkowo zachęcająco - śniadanie to najważniejszy posiłek w ciągu dnia, a chyba już pora na śniadanie, prawda?

- Każda pora jest dobra, jeśli człowiek głodny! - Nalał herbatę do dwóch filiżanek z najcieńszej chińskiej porcelany. - Mleko, cytryna?

- Odrobinę mleka poproszę. Kal, dlaczego mnie obsługujesz? Nie obawiasz się, że może to zaszkodzić twojemu wizerunkowi?

Zaskoczyła go. Jego wizerunek? Nigdy się nad tym nie zastanawiał, choć może powinien był. Cóż, jeśli już, to zależałoby mu na wizerunku normalnego faceta. Nigdy nie wpajano w niego, że z racji pochodzenia jest kimś więcej niż zwykłym śmiertelnikiem. Od życia oczekiwał, że będzie toczyć się normalnie.

Nadejdzie czas, kiedy w domu czekać na niego będzie wierna towarzyszka życia, czyli żona. A zawodowo już się spełniał. Nie musiał pracować i pewnie nie doszłoby do tego, gdyby nie fascynacja lotnictwem. Kal marzył, by mieć samolot, i marzenie się spełniło, ale posiadanie samolotu, który stoi beczynnie na płycie lotniska, nie daje prawdziwej satysfakcji. Kal zaczął jako właściciel niewielkiej firmy kurierskiej, teraz zatrudniał setki ludzi. Samoloty Kalzak Air Services rozwoziły przesyłki po całym świecie.

- Korona mi z głowy nie spadnie, Rose. Hanif na przykład sam pielęgnował swoją pierwszą żonę, także Lucy, kiedy została ranna. Nie opowiadała ci o tym?

- Nie. Wiem tylko, że bardzo ją kocha.

- To widać. Pierwszą żonę też kochał. To było tradycyjne małżeństwo, układ między rodami. Ożenił się powtórnie i znów dopisało mu szczęście.

- Może jest mężczyzną, który potrafi kochać.

Miłość... Na ten temat Kal miał wyrobione zdanie.

Wstał i trzymając filiżankę, wyszedł z altany. Przeszedł się po pomoście, rozglądając dookoła. Cóż, w Bab el Sama wszyscy sycą oczy pięknym widokiem. Kal miał jednak jeszcze coś na uwadze, a raczej kogoś, czyli paparazzich. Podobno wystarczy, że Rose kiwnie palcem, i już robią jej zdjęcie. Tak przynajmniej twierdzi Lucy.

Bystre spojrzenie Kala przemknęło jeszcze raz dookoła. Nic podejrzanego. Spokój, tylko przy łodziach kręcą się rybacy, którzy zaraz wyruszą na połów. I kilka osób na przeciwległym brzegu, zapewne śpieszą się do pracy.

Dopił herbatę i wrócił do altany. Na jego widok wróbelki dziobiące okruszki zerwały się ze stolika. Do tej chwili nikt nie przeszkadzał im w ucztach. Rose siedziała nieruchomo z głową opartą o fotel. Spała, herbata i croissant były prawie nietknięte. W ja-

snym blasku słońca Kal zauważył mizerną twarz i podkrążone oczy. Lady Rose była wykończona. Spała kamiennym snem, więc nie było sensu jej budzić.

- Ciii... - szepnął, zakładając sobie jej rękę na szyję. - Trzymaj się mnie.

Jego słowa musiały jakoś do niej dotrzeć, bo kiedy podniósł ją z krzesła, objęła go mocno za szyję i wtuliła głowę w jego ramię.

Wcale nie była lekka jak piórko, stwierdził Kal, podążając ścieżką do nadmorskiej rezydencji Lucy i Hana. Żaden eteryczny anioł, tylko kobieta z krwi i kości.

Drzwi były szeroko otwarte, tuż za nimi czekała na niego gromadka kobiet, które głośnym cmokaniem wyrażały swoje niezadowolenie. Kiedy ruszył przed siebie korytarzem, zatarasowały mu drogę. Musiał na nie huknąć:

- Rozstapcie się, bo jeszcze ją upuszczę! Lepiej pokażcie, gdzie jej pokój?

Rozpierzchły się jak stadko wystraszonych kur, któraś z nich otworzyła jedne z drzwi. Kal wszedł do pokoju i położył na łóżku wciąż pogrążoną w głębokim śnie lady Rose. Skinął do kobiet, żeby dały coś do przykrycia. Pobiegly wykonać polecenie, a on zdjął Rose buty. Na tym koniec, teraz powinny zająć się nią kobiety. Albo mąż. W tym kraju, w tym świecie, Kal nie miał nawet prawa przebywać w jej pokoju.

- Zajmijcie się lady Rose. - Wykonał władczy gest, którym dziadek na pewno byłby zachwycony. Wygląda na to, pomyślał, Kal, że w tym kraju pewne geny zaczynają dochodzić do głosu.

Niedaleko drzwi, pod ścianą, zauważył starą kobietę, która siedziała na podłodze po turecku jak strażnik pałacowy

- Kiedy lady Rose się obudzi, przyda jej się masaż - powiedział.

- Będzie zrobione, *sidi*!

Sidi? No nie!

- Nie mów tak do mnie - rzucił przez ramię, ruszając przed siebie korytarzem.

- A dlaczego?! - zawołała, nie okazując żadnego onieśmienia. - Przecież twój dziadek, *sidi*, chciał być emirem!

Kal zatrzymał się w pół kroku.

- Znałaś go?

- Tak. Kiedy był chłopcem, kiedy dorastał. Kiedy jeszcze nie narobił głupstw.

Kal podszedł do niej i jak ona usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami w taki sposób, by pięty były niewidoczne.

- Gdzie go widywałeś?

- W Umm Al-Sama, *sidi*. Był niesfornym dzieckiem, upartym jak jego ojciec. Obaj twardzi jak skała. A ty, *sidi*... - Przechyliła głowę, by mu się lepiej przyjrzeć. - Jesteś bardzo do niego podobny. Tylko nie masz brody. Mężczyzna powinien mieć brodę.

Kal odruchowo potarł wygolony podbródek.

- Dziadek też nie nosi dziś brody.

Po chemoterapii bardziej niż łysa głowa martwiła go utrata zarostu, symbolu męskości. Wtedy to Kal przez solidarność z dziadkiem zgolił brodę. Na początku czuł się z tym dziwnie, ale z czasem przywykł.

- Ludzie gadają, że on umiera, *sidi*. To prawda?

- Tak, ale nadal jest uparty. Postanowił, że umrze dopiero wtedy, kiedy wróci do miejsca, które nadal nazywa swoim domem.

- I wróci... - Staruszka pokiwała głową. - Ty go przywieziesz do domu. *Inshallah*. To twoje przeznaczenie.

- A kim ty jesteś? - spytał, bo nagle coś go tknęło.

- Jestem Dena. Gdy zostałam znaleziona, twoja prababka zabrała mnie do swojego domu i uczyniła swoją córką.

Czyli zrobił z siebie durnia. Ta kobieta jest adoptowanym dzieckiem Khatibów, a on rozmawia z nią jak ze służącą.

Szybko wstał z podłogi i skłonił się.

- Proszę o wybaczenie, *sitti*.

- Masz w sobie tyle samo wdzięku co on - rzekła z uśmiechem. - Kiedy go zobaczysz, powiedz mu, że Dena, jego siostra, wspomina go ze wzruszeniem. Teraz idź już, a ja będę czuwać nad snem twojej damy.

Jego damy...

Słowa Deny nadal dźwięczały mu w uszach, gdy stał pod prysznicem. Kiedy w pamięci ożyło wspomnienie pocałunku z lady Rose, jej warg tak gorących i uległych...

Nastawił wodę na jak najzimniejszą i stał w lodowatych strugach, póki nie skostniał. Ale w środku i tak płonął.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lydia budziła się powoli. Najpierw uświadomiła sobie, że leży na miękkich, pachnących prześcieradłach, na poduszce o idealnej wielkości i cudownie miękkiej. Rozkoszna... Nie otwierając oczu, przewróciła się na brzuch. Na moment wtuliła twarz w poduszkę, znów przekręciła się na plecy i otworzyła oczy. Zobaczyła sufit wyłożony cedrowym drewnem, zobaczyła turkusowe płytki na ścianach złocone promieniami słońca, które przedostawało się przez uchylone pięknie rzeźbione okiennice.

To wcale nie sen.

- Bab el Sama - powiedziała, rozkoszując się obco brzmiącym wyrazem. - Brama do nieba...

- *Sitti* już się obudziła?

- Och... - Usiadła prosto jak świeca.

Koło rzeźbionych drzwi, na podłodze, siedziała stara kobieta spowita w gigantyczną czarną chustę. Wstała zręcznie jak na swój wiek i skłoniła głowę.

- Jestem Dena, *sitti*. Księżniczka Lucy poleciła mi się tobą zaopiekować.

- Zdaje się, że księżniczka wszystkich postawiła na nogi - mruknęła mocno niezadowolona Lydia. W końcu przez ten tydzień lady Rose miała rozkoszować się samotnością!

Odrzuciła na bok kołdrę... i kołdra natychmiast wróciła na swoje miejsce.

O matko! Przecież jestem kompletnie goła! - pomyślała przerażona. Jak to się stało? Nie miała pojęcia. Pamiętała, że razem z Kalem podziwiali wschód słońca, potem siedziała na miękkich poduszkach w wygodnym wyplatany fotelu. Zamknęła oczy na chwilę...

- Bin Zaki przyniósł tu ciebie, *sitti*, a my postarałyśmy się, żeby ci się dobrze spało.

Co za ulga! Bo z tego wynika, że rozebrał ją nie Kal, lecz jakieś kobiety.

Dena podeszła do niej, trzymając przed sobą rozpostarty szlafrok, który Lydia skwapliwie wciągnęła na siebie.

- A gdzie jest Kal?

- Poszedł po konia do stajni. - Dena podała jej szklanę z sokiem. - A teraz ciebie wykąpię i zrobię masaż. - Poprowadziła ją do łazienki jak z bajki, z wanną wpuszczoną w podłogę i z wielkim prysznicem z jacuzzi. - Wanna czy prysznic?

- Prysznic.

Dena odkręciła wodę i zaczęła sprawdzać temperaturę, najpewniej nieświadoma, że czarna suknia do kostek jest już na dole mokra. Czekala, aż lady Rose zdejmie szlafrok, stanie pod prysznicem i będzie mogła ją umyć.

Lydia odczytała to bezbłędnie.

- Deno, dziękuję. Dam sobie radę.

- Dobrze, *sitti*. Kiedy się umyjesz, przyjdź do pokoju obok, a ja wypędzę ból z twojego ramienia.

Wyszła, odprowadzana przez Lydię pełnym zdumienia wzrokiem. Skąd Dena wiedziała o prawym ramieniu wykończonym przez nieustanne podsuwanie do czytnika rzeczy zakupionych przez klienta? Zawsze bolało, kiedy było zimno albo wilgotno.

Wiedziała, bo masuje nie od dziś, stwierdziła Lydia, stając w strugach ciepłej wody. Zauważy u każdego najmniejszą nieprawidłowość. Mam za sobą wielogodzinną podróż, pomyślała, nic więc dziwnego, że nadwerężone ramię dało znać o sobie.

Myła się długo, bardzo starannie, odsuwając od siebie jak najdalej chwilę, kiedy owinięta w wielki ręcznik odda się w ręce starej Deny, która budziła w niej swoisty lęk. Tak było, dopóki nie położyła się na leżance. Ręce Deny od razu znalazły w jej mięśniach guzki, które należało rozmasować. Kiedy zaczęły to robić, Lydia się rozluźniła i pozwoliła robić ze sobą wszystko.

Po masażu zawinięto ją znowu w szlafrok i usadzono na fotelu z odchylonym w tył oparciem. Jakieś delikatne ręce rozpuściły jej włosy, wymasowały głowę, potem zaczęły czesać, w tym samym czasie młoda dziewczyna robiła cudowne rzeczy z jej stopami i rękami. Pomalowała paznokcie, potem henną namalowała na rękach śliczne wzorki.

W rezultacie Lydia była zrelaksowana do takiego stopnia, że kiedy jedna z dziewcząt podsunęła jej eleganckie majtki typu francuskie szorty, czyli odsłaniające połowę pupy, włożyła je bez żadnego skrępowania, tak samo biustonosz z koronki i pozwoliła, żeby ktoś z tyłu go jej zapiął.

Podniosła ręce, kiedy Dena wkładała jej przez głowę luźny jedwabny kaftan, który na pewno nie należał do garderoby zapakowanej przez lady Rose. Kaftan, leciusieńki jak niebieska mgiełka, osiadł jej na ramionach, potem spłynął do samej podłogi, a zręczne palce zapinały na jej biuście tuzin, a może i więcej guziczków obciągniętych jedwabiem.

Kiedy wsuwała stopy w sandaalki z cieniutkich rzemyczków, pomyślała, że po tygodniu takiego jedwabnego życia powrót do rzeczywistości będzie tragedią.

Dzięki, Rose!

Gdy spojrzała na swoją torebkę, natychmiast jedna z dziewcząt podała ją. Lydia wyjęła komórkę i wysłała dwa SMS-y. Jeden do Rose był nadzwyczaj lakoniczny:

Doleciałam szczęśliwie.

Drugi, do matki, był trochę dłuższy. Nie tylko że doleciała szczęśliwie, lecz także:

Apartament jest wspaniały i bawię się cudownie.

Cóż, taka była prawda!

Wsunęła komórkę do kieszeni kaftana i spojrzała na otaczające ją kobiety.

- Czy mogłabym trochę się tu rozejrzeć?

Dena poprowadziła ją w dół po schodach do pięknego westybulu, gdzie sufit był na wysokości drugiego piętra, a ściany wyłożone glazurowanymi płytkami w kwietne wzory. Pokazała też wielki pokój jadalny, z którego wychodziło się na taras, za którym widać było ogród otoczony murem i basen.

Następne drzwi, które otworzyła Dena, prowadziły do pokoju dziennego. Lśniaca drewniana posadzka przykryta była perskimi dywanami o niebywałych rozmiarach. Stały tu też niskie kanapy. Na jednej z nich Lydia zauważyła coś małego, żółtego, ukrytego między poduszkami. Nachyliła się i wyjęła żółtą kaczuszkę.

- Kaczuszka małego Jamala - powiedziała z uśmiechem Dena. - Zawsze ją tu zostawia, by pilnowała jego miejsca.

Lydia też się uśmiechnęła i wsunęła kaczuszkę z powrotem między poduszki.

- Lubisz dzieci, *sitti*, prawda? - spytała Dena.

- Tak, bardzo.

- Wszystkie dzieci kochają Bab el Sama. Kiedyś przywieziesz tu swoje.

Rose na pewno. Ja na pewno nie, pomyślała smętnie Lydia, zresztą i tak pełna wątpliwości, czy ogóle kiedykolwiek zostanie matką. Gdy ma się tak wiele obowiązków, sprawa raczej jest niewykonalna, nawet gdyby znalazł się mężczyzna, którego mogłaby obdarzyć zaufaniem.

Z tego pokoju też wychodziło się na taras. Gdy zaciekawiona Lydia wyjrzała przez drzwi, zapachniało słodko. Na tarasie stały doniczki z kwitnącym geranium. A był przecież grudzień!

Podeszła do balustrady. Ten taras usytuowany był zaledwie kilka metrów nad plażą. Morze szumiało, łagodny wiatr kołysał wielkie liście palm. Tak tu spokojnie, tak pięknie, cudownie ciepło. Twarz sama unosiła się ku słońcu jak u słoneczników.

Nagle opuściła głowę, kątem oka bowiem dostrzegła na brzegu coś, co zwróciłoby uwagę każdego. Jeźdźca w białej, powiewającej szacie na galopującym rumaku. Pędził po mokrym piasku zalewanym przez fale. Woda tryskała spod kopyt, kopyta prawie nie dotykały ziemi. Wydawało się, że koń frunie. Widok był porywający, tym bardziej że ten jeździec...

- To bin Zaki - powiedziała Dena, pojawiając się obok Lydii. - Ściga się ze swoimi demonami. Jak jego dziadek.

Lydia milczała zapatrzona w jeźdźca, gdy jednak znikł za skałami, spytała:

- Demony? Jakie demony?

- Kiedyś sam ci o nich opowie. Czy potrzebujesz czegoś, *sitti*?

- Nie, dziękuję. Trochę się przejdę, rozejrzę po okolicy. Czy są tu jakieś miejsca, które powinnam omijać?

- Nie, *sitti*. Całe Bab el Sama należy do ciebie.

Po chwili ruszyła przed siebie ścieżką, która doprowadziła ją do schodków wiodących nad morze, jednak głupio jej było pojawić się na plaży w powiewającym kaftanie. Dlatego zawróciła i poszła inną ścieżką przez ogród.

Lydia kochała wszystko, co zielone. Po wypadku, w którym zginął ojciec, przeprowadziły się z mamą z niewielkiego domu z ogrodem do mieszkania na parterze dostosowanego do potrzeb osoby niepełnosprawnej. Lydii było żal ogrodu, ale oczywiście nie robiła matce wyrzutów. Miała dopiero dziesięć lat, rozumiała jednak, co to życiowa konieczność. Brak ogrodu rekompensowała roślinami doniczkowymi. W mieszkaniu było ich mnóstwo. Najpierw kupowała je z kieszonkowego, potem za zarobione przez siebie pieniądze.

Ogród w Bab el Sama był jak z bajki. Piękny starodrzew po prostu oszałamiał swoją urodą. Między drzewami wiły się strumyczki, spływały po kamieniach i skałach do stawów, z których wyglądały ciekawskie karpie. Piękne altany zachęcały do wypoczynku. W kilku zauważyła zabawki, urzędowały więc tam dzieci, w jednej stały wygodne fotele, czyli stąd podziwiano piękny widok. A którąś z kolei, z miedzianym dachem pokrytym patyną, wyścielono grubym dywanem i zarzucono poduszkami. Ot, gniazdko dla zakochanej pary.

Kiedy wracała do domu, koło jej nóg coś przemknęło. Zdążyła zauważyć szmaragdowy ogon jaszczurki. A kiedy podniosła głowę, zobaczyła wysoką postać w białej, długiej szacie.

Kal był spocony po szalonej galopadzie. *Keffiyeh*, czyli biała chusta, zsunęła mu się z głowy, brzeg szaty był mokry i zapiaszczony.

- Trochę sobie pojeździłem - oznajmił z pełnym zadowolenia uśmiechem.
- Widziałam cię, wyglądało to tak, jakbyś frunął.
- Oczywiście! Przecież jestem uzależniony od latania.

Pachniał znojem, wodą morską i wyprawioną skórą. Ta gama zapachów działała na Lydię jak afrodyzjak. Wargi zrobiły się dziwnie gorące, musiała więc je dyskretnie zwilżyć językiem, a ręce jak najmocniej przycisnąć do siebie. Tak bardzo chciały go dotknąć...

- Jeździsz konno? - spytał Kal takim tonem, jakby z góry zakładał odpowiedź twierdzącą. I słusznie, w pewnych sferach wszystkie dziewczynki już w wieku trzech lat próbują swoich sił na kucykach.

Na szczęście lady Roseanne pod tym względem była wyjątkiem.

- Nie, nie jeżdżę. I gdybym miała wybierać, wolałabym pójść na ryby.

- Tak? To może ubijemy interes. Ty zabierzesz mnie na ryby, a ja będę cię uczyć jazdy konnej.

W uszach oszołomionej Lydii zabrzmiało to jak propozycja wspólnego seksu, a nie wspólnej rozrywki na świeżym powietrzu. Zdawała sobie sprawę, że w tym stanie ducha i ciała bez żadnych oporów dałaby się Kalowi porwać na ręce i zanieść do altany wyścielonej dywanami.

- No cóż... Wygląda to na propozycję nie do odrzucenia... - mruknęła.

Na co Kal, o zgrozo, podszedł jeszcze bliżej i zrobił coś, co omal ostatecznie nie zwaliło jej z nóg. Objął mianowicie jej twarz i delikatnie przesunął kciukiem po wargach.

- Czyli jesteśmy umówieni, Rose. - Pochylił głowę i jego usta zrobiły to, co przed sekundą kciuk. Musnęły jej usta. - A więc umowa stoi. Po południu idziemy na ryby, a jutro o świcie zapraszam na przejażdżkę. Mam tylko jedną prośbę. Wolałbym, żebyś miała na sobie coś mniej rozpraszającego.

Gdy odszedł, Lydia znów została sama wśród zieleni i ciszy. Jedyne dźwięki, oprócz głośnego bicia serca, to szelest wielkich liści palm. Spojrzała w dół. Wiatr bawił się nie tylko liśćmi, także cieniutkim niebieskim jedwabiem, który opinał się na jej ciele, ujawniając całą kobiecą geometrię. Biodra, brzuch, no i piersi nabrzmiały pożądaniem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kal stał pod lodowatym prysznicem. Zamknął oczy, lecz nic nie pomogło. Pod powiekami miał nadal obraz lady Rose Napier w niebieskim jedwabiu, który tak dokładnie opinał jej ciało. Ciało lady Rose, istoty słodkiej i niewinnej. Taki był jej oficjalny wizerunek. I słusznie, Kal nie miał już żadnych wątpliwości. Rose jest dziewczyną. Kobieta, która ma choć odrobinę doświadczenia, nigdy nie okaże mężczyźnie w sposób tak oczywisty, że go chce. Oczywiście nieświadomie, tak jak Rose, która nie zdawała sobie sprawy, że w jej oczach, tym zwierciadle duszy, jest pożądanie, a jej ciało wysyła Kalowi na potęgę sygnały typu „weź mnie”.

A może już się w tym zatracili oboje.

Dlatego zafundował sobie ostry galop brzegiem morza, by wysiłek stłumił żądania ciała. Był pewien, że poskutkowało, ale kiedy cudownie zmęczony wracał ze stajni, na ścieżce zobaczył Rose. Jasne włosy opadały na ramiona, ubrana była w jedwabny, błękitny jak kolor oczu kaftan ozdobiony haftem.

Wyglądała pięknie i nadzwyczaj kobieco. W rezultacie znów go wzięło. Nalegał na wspólne rozrywki, czyli łowienie ryb i jazdę konną. I dotknął jej. Nie potrafił się powstrzymać. Najpierw musnął jej wargi kciukiem, potem, niestety, ustami, i tylko dzięki żelaznej sile woli nie porwał jej na ręce i nie zaniósł do altany schowanej wśród drzew.

Zakręcił wodę. Wytarł się i owinąwszy biodra ręcznikiem, poszedł do garderoby, gdzie na wieszakach wisiały już odprasowane ubrania. Ktoś, najprawdopodobniej Dena, obok europejskich strojów powiesił kilka ubrań noszonych przez mężczyzn w Bab el Sama.

Zanim zaczął się ubierać, zadzwonił do dziadka. Najpierw standardowe pytanie o zdrowie, potem przekazał, że spotkał kogoś, kto doskonale go pamięta.

- Nie bał się do tego przyznać?

- To kobieta, *jaddi*. Mówiła mi, że zawsze byłeś strasznie uparty, choć przy tym czarujący...

Dziadek zaśmiał się chrapliwie.

- Ona? Czyli kto?

- Dena. Kazała ci powiedzieć, że wspomina ciebie ze wzruszeniem.

- Dena... - powtórzył z przejęciem dziadek. - Jak się miewa?

- Dobrze. Mówi, że nastąpiła pora, byś wracał do domu.

- Powiedz jej... Powiedz jej, że wrócę. *Inshallah*. Jeśli Allah pozwoli. Nie umrę, dopóki jej nie zobaczę i nie ucałuję.

- Dobrze, *jaddi'l habeeb* - zapewnił miękko Kal. - Powiem jej. I na pewno stanie się tak, jak sobie tego życzysz. Przysięgam.

Rozłączył się, przez dłuższą chwilę stał nieruchomo, czując wielkie wzruszenie. Tak było po każdej rozmowie z dziadkiem. Zawsze się rozklejał.

Odłożył komórkę, zaczął się ubierać. Włożył džinsy, resztę dobrał z rzeczy podsunętych przez Dene. Luźną białą koszulę z długimi rękawami i sandały. Kiedy chował komórkę do kieszeni, zadzwoniła Lucy.

- Witaj, księżniczko! Sprawdzasz mnie?

- A dlaczego nie? - odparła ze śmiechem. - Nigdy nie wiadomo, co ci do głowy strzeli. Ale tak poważnie, Kal, chciałam po prostu wiedzieć, co u Rose, jak minęła podróż.

- Dlaczego nie zadzwonisz do niej?

- Bo wiem, że chce się odciąć od wszystkich i spokojnie pomyśleć o swojej przyszłości. Sama, bez tysiąca dobrych rad, wiadomo, że głównie pochodzących od dziadka. Kal, co w tej chwili robi Rose?

- Trochę pospała, teraz spaceruje po ogrodzie.

- Sama?

- Teoretycznie tak, ale znając Dene, ktoś na pewno stoi na czatach. Niedługo zresztą będzie lunch. A wiesz, Lucy, że twoja Rose jest trochę inna, niż się spodziewałem.

- To znaczy?

- Ot, choćby to, że boi się latać.

- Rose?! Nie miałam pojęcia. Jak zniosła helikopter?

- Całkiem nieźle. Udało mi się ją czymś zająć. Ale mniejsza z tym... Poza tym nie jeździ konno.

- Bo ma uraz. Kiedy była mała, spadła z kucyka i bardzo się potłukła.

- Mimo to zgodziła się, żebym uczył ją jeździć konno.

- Naprawdę?

- Sama kazałaś mi zorganizować jej jakieś rozrywki.

- Owszem. Cieszę się, że wzięłaś to sobie do serca. Kal, a ja dzwonię do ciebie przede wszystkim po to, żeby przekazać ważną wiadomość. Pod koniec tygodnia księżniczka Sabirah złoży Rose kurtuazyjną wizytę. Oczywiście zapowie się oficjalnie, może jeszcze dziś, ale uznałam, że powinieneś o tym wiedzieć.

- Dziękuję, Lucy. Jestem ci niezmiernie wdzięczny. Gdyby nie ty...

- Nie, Kal. To ja jestem ci wdzięczna za pomoc w mojej akcji charytatywnej, cieszę się też, że w imię naszej przyjaźni mogłam coś dla ciebie zrobić. Do usłyszenia!

Lydia najchętniej wskoczyłaby do najbliższego stawu, żeby choć trochę ochłonać. Niestety staw nie wchodził w grę, dlatego pozostał spacer. Chodziła po krętych ścieżkach najpierw normalnym tempem, potem coraz szybciej, w końcu prawie biegiem, zupełnie jakby chciała uciec przed emocjami, nad którymi przestawała panować.

Miotła się tak, póki nie zabrakło jej tchu i póki szczęśliwym zrządzeniem losu koło ścieżki nie ukazała się ławeczka.

Usiadła. Po chwili oddech wrócił do normy, policzki przestały palić, głowa zaczęła pracować, podejmując próbę nadania jakiegoś sensu ostatnim wydarzeniom. Próba oczywiście się nie powiodła, bo ogólnie rzecz biorąc, naprawdę trudno doszukać się jakiegoś sensu w miłości, a nawet w zwyczajnym pożądaniu. W obu przypadkach człowiek robi z siebie głupka.

A to, co się teraz z nią dzieje, to chwilowe szaleństwo, które na pewno kiedyś minie.

Dla większej skuteczności powtórzyła to sobie na głos, czym spłoszyła Bogu ducha winnego ptaka, który przysiadł na pobliskim drzewie. Odleciał z furkotem skrzydeł, Lydia też wstała i ruszyła do domu.

Na tarasie zastała dziewczynę, która wraz z innymi zajmowała się nią pod nadzorem Deny. Siedziała w cieniu po turecku i haftowała coś na kawałku jedwabiu, jednak na widok Lydii zerwała się na równe nogi.

- Nie jesteś głodna, *sitti*?

Nie była głodna, pomyślała jednak, że warto coś zjeść z rozsądku, bo croissantsa tylko skubnęła podczas śniadania. No i gdy człowiek zajmie się potrzebami ciała, może choć na chwilę przestanie myśleć o potrzebach znękanego serca.

- Owszem, zjadłabym coś. Dziękuję... Przepraszam, jak ci na imię?

- Yatimah.

- Świetnie mówisz po angielsku, Yatimah.

- Księżniczka Lucy mnie nauczyła. Księżniczka mówi po arabsku tak dobrze, jakby tu się urodziła.

- A ja chciałabym się trochę poduczyć arabskiego. Pomożesz mi, Yatimah?

- *Nam!* - Zachichotała. - To znaczy tak, *sitti*.

- *Nam* - powtórzyła Lydia i przypomniała sobie, jak jest „dziękuję” po arabsku, czego nauczył ją Kal. - *Shukran*.

- Świetnie, *sitti!* - Yatimah klasnęła z zadowolenia.

- A jak jest po arabsku „dzień dobry”?

- *Sabah alkhair*. A odpowiada się: *sabah alnur*.

Przećwiczyły to, po czym pełna zapału Yatimah przekazała dalsze wiadomości:

- Po południu witamy się *masa alkhair*, na co odpowiadamy *masa alnur*. „Dobranoc” po arabsku...

- *Leila sa'eeda* - odpowiedział męski głos, na co speszona Yatimah oczywiście uciekła. - Dzwoniła Lucy, pytała o ciebie - powiedział Kal, wychodząc na taras. Nie miał już na sobie garnitur, tylko sfatygowane džinsy i długą luźną białą koszulę bez kołnierzyka wyłożoną na spodnie. Na bose stopy wsunął sandały.

W nowej wersji bardzo spodobał się Lydii. Księżę pustyni...

- Dlaczego nie zadzwoniła do mnie? - spytała Lydia... i struchlała. Przecież „do mnie” w tej zwariowanej sytuacji oznaczało prawdziwą lady Rose! Jeszcze by tego brakowało, żeby Lucy zadzwoniła do niej! Do Rose, która nie wie nic o Kalu! Koniecznie trzeba wysłać jej SMS-a, i to jak najprędzej!

- Nie chciała ci przeszkadzać. Wie przecież, jak bardzo łakniesz samotności. Przekazała mi też pewną wiadomość...

Na tarasie pojawiła się Dena, za nią służące z pełnymi tacami.

- Nie jesteście głodni? - Nie czekając na odpowiedź, szybkim krokiem podeszła do stołu ustawionego w ogrodzie pod drzewem. Sznurek służących podążył za nią. Stół przykryto białym obrusem z adamaszku, porozstawiano talerze i półmiski. Menu było naprawdę bogate: ryż na żółto z szafranem naszpikowany rodzynkami i orzeszkami pińowymi, ryba, kurczak, sałatki, małe kozie serki.

- Prawdziwa ucztą - stwierdziła Lydia, kiedy zasiedli do stołu. - Nawet nie dam rady skosztować wszystkiego. Zwykle na lunch jem tylko kanapkę.

- Naprawdę? A ja byłem pewien, że codziennie bywasz na eleganckim lunchu i zbierasz datki.

- Och, najwyżej raz w tygodniu, może dwa, ale zwykle ledwie coś skubnę.

- Zjesz tyle, ile chcesz. Nałożyć ci ryżu?

- Tak, proszę. Jedną łyżkę.

I tak już było do samego końca. Tylko łyżkę, tylko kawałeczek, ale w rezultacie talerz i tak był załadowany po brzegi.

- Jedz, Rose.

Posłusznie wzięła do ręki widelec i zanurzyła w ryżu.

- Kal, jaką wiadomość przekazała ci Lucy?

- Żona emira chce ci złożyć kurtuazyjną wizytę.

Gdy widelec zadrżał jej w ręce, czatujące wróbelki zaczęły pikować do rozsypanych ziarenek.

- Żona emira?!

- Tak. Wiem, Rose, że chciałaś ten tydzień spędzić w samotności, ale musisz zrozumieć, że księżniczka Sabirah nie może zignorować twojej obecności w naszym kraju.

Żona emira... Lydia czuła, jak cała krew odpływa jej z twarzy. A wszystko wydawało się takie proste! Cudowne wakacje, piękna kraina, pełen luz, można robić, na co tylko przyjdzie ochota. Poczytać, popływać, pospacerować po plaży ile chcesz i kiedy chcesz, a przy okazji poważnie zastanowić się nad swoją przyszłością. Bo nie tylko Rose ma zamiar to zrobić, także Lydia Young, która od dziesięciu lat dorabia do pensji jako jej sobowtór. Mogłaby spokojnie zajmować się tym przez następną dekadę, gdyby nie poznała Kala. Ale poznała go i nagle zapragnęła być tylko sobą. Żadnego udawania, żad-

nych kłamstw. Choć zdawała sobie sprawę, że różnica społeczna między Kalem Al-Zakim a Lydią Young, kasjerką z supermarketu, była wręcz bolesna.

Ale i tak - dość! Czas najwyższy skupić się na własnym życiu, nie tracąc energii na fikcję. O tym właśnie chciała pomyśleć, przechadzając się po plaży wyluzowana i zrelaksowana, a nie umierająca ze strachu przed wizytą żony emira.

Może udać chorą? Nie, głupi pomysł. Aż strach pomyśleć, co by się wtedy działo. Lady Rose zaniemogła! Wezwą tłum lekarzy, może nawet przetransportują ją do szpitala. Oczywiście helikopterem! Kal albo Dena wezwą Lucy, może nawet starego księcia Oldfielda...

Nie, nie, nie!

- Nie denerwuj się, Rose. Księżniczka przyjedzie dopiero w końcu tygodnia, a wizyta potrwa krótko - powiedział Kal, nakładając sobie jedzenie na talerz. - Porozmawiacie pół godzinki przy kawie, to wszystko. Księżniczka mówi bardzo dobrze po angielsku.

Chwileczkę, coś tu nie gra. Głos Kala był idealnie obojętny, twarz jednak jakby odrobinę stężała. Czyżby wizyta księżniczki dla niego też stanowiła problem?

- Porozmawiamy? O czym?

- Na pewno będzie wypytywać o twoją działalność charytatywną, czyli, jak to można określić, o twoją pracę.

- O moją pracę... - Czują, jak ogarnia ją pusty śmiech. Cudownie! Wypije kawkę z żoną emira, a przy okazji wyjaśni jej zawiłości odczytywania ceny towaru przy kasie.

- Jeśli będziesz dla niej miła, księżniczka na pewno wesprze hojnie któryś z twoich szczytnych celów - dodał Kal. - Na pewno też porozmawiacie o Lucy i jej dzieciach.

Czyli gorzej być nie może. Zgodnie z założeniem tydzień w Bab el Sama miał przypominać pobyt w luksusowym hotelu. Wspaniała obsługa i wszystko na dystans. A tu co chwila jakiś kataklizm i udawanie przez cały czas, minuta po minucie.

Ale cóż, sama w spontanicznym odruchu zaproponowała lady Rose swoje usługi, więc nie może jej zawieść.

- Przykro mi, Rose, że ta wiadomość odebrała ci apetyt.

Tak? Zdaje się, że ta wiadomość nie tylko na nią podziałała negatywnie.

- Wcale nie - oświadczyła, nadziewając na widelec kawałek kurczaka. Okazał się tak soczysty, że mimo zdenerwowania przełknęła go bez trudu. - Lepiej powiedz mi, Kal, na czym polega twój problem!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kal wziął kromkę chleba i przełamał ją na pół. Wiadomo, chciał zyskać na czasie, wytracony z równowagi niespodziewanym atakiem.

- A dlaczego uważasz, że mam problem, Rose?

- Bo tu, w kąciu ust - dotknęła tam palcem - masz zdradliwy mięsień. Kiedy będziesz grał w pokera, lepiej nie pokazuj twarzy od tej strony.

- Zapamiętam sobie. - Kal pokiwał głową, po czym włożył kawałek chleba do ust i zaczął powoli przeżuwać.

- No to zamieniam się w słuch. Co się za tym kryje? - ponagliła po chwili Lydia, dając do zrozumienia, że nie odstąpi od tematu. - Wspominałeś, że twoja rodzina nie jest mile widziana na dworze emira. Jak przypuszczam, dotyczy to również letnich rezydencji. Czy znakiem tego wizyta księżniczki w Bab el Sama jest ci nie na rękę? Kal! Chciałabym wiedzieć, na czym stoje, zanim popełnię jakąś gafę. Dlatego przestań żuć i powiedz. Wyrzuć to z siebie, koleś!

- Koleś? Tak mówi lady Roseanne Napier?

Zauważył, że szybko zamrugła. Roziskrzony wzrok nagle zmatowiał.

- No cóż... w końcu w tej mojej... pracy, jak to określiłeś, stykam się z różnymi ludźmi. - Głos nagle stał się bardzo chłodny, jakby Rose narzuciła sobie maksymalny dystans.

Tę metamorfozę Kal zauważył już wcześniej, dlatego miał wrażenie, że obcuje z dwiema kobietami. Z piękną, chłodną lady, a kiedy indziej z normalną kobietą, której głos był leciutko zachrypnięty, wargi bardziej miękkie niż u lady, a kolor oczu to już nie był chłód zimowego nieba, lecz błękit w lecie hojnie wygrzany słońcem. Ta druga wersja Rose była też bardziej elokwentna i nieludzko pociągająca. Ręce same się do niej wyciągały, podjudzane przez ten wredny egoistyczny gen, z którym walczył przez całe życie.

- To, co wydarzyło się z moją najbliższą rodziną, Rose, nie jest tajemnicą. Poszukaj w Google'u. Znajdziesz tyle, że można by napisać książkę.

- Z całą pewnością tak, ale wolałabym usłyszeć to z twoich ust.

Kal najpierw napił się wody, po czym oznajmił:

- Skoro cię tu przywiozłem, masz prawo tego oczekiwać po mnie. Słuchaj więc... - Przerwał na moment. - Kalil Al-Khatib, mój dziadek, był najstarszym synem emira. W naszym kraju władca wyznacza swojego następcę. Nikt nie wątpił, że następcą będzie mój dziadek.

- Masz to samo imię co on.

- U nas zgodnie z tradycją pierworodnemu nadaje się imię dziadka. Mój pierworodny syn będzie nosił imię Zaki.

- Zaki, czyli imię twojego ojca. Dena mówi do ciebie bin Zaki. „Bin” znaczy „syn”, prawda? Syn Zakiiego.

- Zgadza się.

- Dlaczego w takim razie używasz jako nazwiska Al-Zaki, a nie Al-Khatib?

- To długa historia.

- Nie szkodzi. Mamy czas.

- Jasne, nawet całkiem sporo... Mój dziadek, jak powiedziałem, był najstarszym synem emira, i to ukochanym synem. Obaj byli zapalonymi jeźdźcami, zawsze razem wyruszali na pustynię, by zapolować z sokołami. Obaj bardzo odważni, wzbudzali wielki szacunek. Ludzie ich kochali. Wszyscy byli pewni, że dziadek kiedyś zostanie emirem. Miał wszelkie zadatki na władcę. W tamtych czasach w największej cenie były odwaga i waleczność. Władca bronił swego ludu, letnich pastwisk, oaz...

- Jeszcze nie było ropy?

- Nie. Kiedy ją odkryto i pieniądze zaczęły płynąć do naszego kraju szerokim strumieniem, sytuacja się zmieniła. Władca musiał reprezentować sobą coś więcej. Już nie tylko wojownik i myśliwy, także zręczny dyplomata, umysł otwarty na świat...

- Dziadek nie potrafił się dostosować?

- Dostosował się, owszem. Problem w tym, że na swój sposób. Był wielbicielem mocnych wrażeń, prawdziwy król życia, przed którym cały świat stanął otworem, a to z

uwagi na niewyobrażalne dochody, tak zwane petrodolary. Wydał majątek na wyścigach konnych, w kasynach, na piękne kobiety. Jako przyszły władca kraju bogatego w ropę przyciągał uwagę mediów. Rozpisywali się o wszystkich jego ekscesach.

- Te wiadomości musiały docierać do kraju... Brzmi to niezbyt zabawnie.

- Zgadza się, choć dziadek dopiero po latach zrozumiał, że za to, co się wydarzyło, może winić tylko siebie.

- Więc co takiego w końcu się wydarzyło?

Nie, nie poganiała go. Powiedziała to mimochodem, zajęta jednocześnie jedzeniem. Wyczuwała, że niełatwo mu opowiadać tę historię.

- Rodzina, żeby przypomnieć Kalilowi o jego obowiązkach i zachęcić do powrotu do kraju, wyszukała mu żonę. Oczywiście była ze wszech miar odpowiednia, jej ojciec należał do starszyzny plemiennej.

- Chwileczkę... znaleźli mu żonę?

- Tak to u nas zwykle jest, Rose. Po prostu układ. Dzięki temu dwa rody łączą się i rosną w siłę.

- Dziewczyna nie ma nic do powiedzenia?

- Oczywiście, że ma. Małżonków dobiera się bardzo starannie. Nikt nie chce, żeby byli ze sobą nieszczęśliwi.

- Szczęśliwi, nieszczęśliwi... - mruknęła jakby do siebie. - Czy w takim małżeństwie w ogóle jest miejsce na miłość?

- Masz na myśli te łzawe historyjki kręczone w Hollywood?

- Hollywood? Ktoś zajął się tym już wcześniej. Niejaki Szekspir. Posłuchaj... - Oczy Rose rozbłysły. - Miłość to nie miłość, jeśli zmienny świat naśladując, sama się odmieni lub zgodzi się nie istnieć, gdy ktoś ją przekreśli. O nie. To znak wzniesiony wiecznie na bałwany, bez drżenia patrzący w twarz sztormom i cyklonom. Gwiazda zbłąkanej łodzi... *

* Fragment Sonetu XVI Williama Szekspira w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Powiedziała to tak pięknie, z takim przejęciem i wiarą, że Kal oniemiał z wrażenia... i na moment zweryfikował swoje poglądy. Nagle zapragnął, żeby faktycznie było to możliwe. Dwoje ludzi spotyka się w szerokim świecie, jedno spojrzenie, jedno zetknięcie się dłoni i już wiedzą, że chcą być razem. Na zawsze. Bo to miłość...

Potrząsnął głową. Nonsens. Takie porywy serca zwykle kończą się żalostí. Poza tym to nie porywy serca, a chemia. Działa z ogromną mocą, tyle że na krótki dystans.

- Niestety, nie przekonałaś mnie, Rose. Całe życie mam do czynienia ze skutkami tej tak zwanej miłości. Ból, rozczarowanie, dzieci rozdarte między rodzicami, choć z czasem niby jakoś ma się ułożyć...

Przykryła dłonią jego dłoń.

- Przepraszam, Kal. Nie pomyślałam o tym.

- Cóż, moja najbliższa rodzina to krańcowy przypadek. A wracając do dziadka... Gdy został wezwany do kraju na oficjalne zaręczyny, na pierwszych stronach gazet ukazało się zdjęcie dziadka i jego świeżo poślubionej żony, brytyjskiej gwiazdki, która, jak zaklinał się, miała być miłością jego życia. Młoda para miała za sobą krótki, ale gorący romans. Do ślubu śpieszyło im się z bardzo prozaicznego powodu. Brytyjska gwiazdka była w ciąży.

- Och...

- Dziadek wiedział, że jego ojciec będzie wściekły. W ogóle cała rodzina oburzyła się, że sam wybrał sobie żonę. Był jednak pewien, że kiedy urodzi się syn, wszystko zostanie mu wybaczone.

- Ale mylił się?

- Tak. Kiedy zamierzał powrócić ze swoją rodziną do Ramal Hamrahn, przekazano mu, że jego brytyjska żona nie jest tu mile widziana. Więc w ogóle tu nie przyjechał.

- Brawo!

- No właśnie. Wszyscy go lubią, Rose, i na tym między innymi polega problem.

- A ty go kochasz.

- Oczywiście. To mój *jaddi'l habeeb*. Ukochany dziadek. Mój ojciec w młodości poszedł w jego ślady. Też zaczął szaleć, więc to dziadek musiał uczyć mnie arabskiego i historii naszego kraju.

- Czyli twój dziadek poświęcił wszystko w imię miłości...

- Tak właśnie się stało. Natomiast sytuację załagodził jego młodszy brat, żeniąc się z dziewczyną wybraną na żonę następcy tronu. Po roku urodził im się syn, w którego żyłach płynęła krew przodków sprzed tysięcy lat. Poza tym ów młodszy brat potrafił swoje bogactwo spożytkować dla dobra narodu. Był po prostu mądrzejszy od mojego dziadka. Kiedy emir, czyli mój pradziadek, miał udar, dziadek natychmiast przyjechał do kraju. Niestety, było już za późno. Emir leżał w śpiączce, nie mógł więc wyciągnąć do dziadka ręki i przebaczyć mu.

- Biedny człowiek... - powiedziała cicho Rose.

- Tak to ujmujesz? - Spojrzał na nią zdeorientowany. Biedny? Jak to rozumieć?

- Kto wie, Kal, czy emir nie żałował, że tak postąpił z twoim dziadkiem. Czasami tak właśnie jest. Odkładasz coś w nieskończoność, a potem okazuje się, że jest już za późno. Też chciałam wiele rzeczy powiedzieć mojemu ojcu, lecz nie zdążyłam. Bo on... umarł. - Jej głos załamał się.

Tym razem to Kal przykrył swoją dłonią jej dłoń.

- Co chciałaś mu powiedzieć, Rose?

- Przede wszystkim to, że go kocham. Powiedzieć mu to jeszcze raz. Bardzo go kochałam. Tata zawsze w niedzielę zabierał mnie na długi spacer do lasu, uczył nazw drzew, kwiatów, ptaków.

- A twoja matka?

- Mama zostawała w domu i przygotowywała lunch, a my zawsze przynosiliśmy jej z lasu coś ładnego. Piórko ptaka albo jakiś kamyczek.

Trochę dziwne. Matka Rose, lady Napier, przy garnkach. Z drugiej strony w jej żyłach nie płynęła błękitna krew. Nie była arystokratką, za to znakomitą lekarką.

- A jaka była twoja matka, Rose?

- Moja matka... moja matka to prawdziwy symbol odwagi i determinacji. Ale, Kal, proszę, opowiadaj dalej. Co stało się po śmierci twojego pradziadka?

- Kiedy dziadek dowiedział się, że emir na swego następcę wyznaczył młodszego syna, omal nie pękło mu serce. Nie tylko z żalu, ale i z poczucia winy. Sam przecież doprowadził do tego, że jego ojciec musiał podjąć taką decyzję. I tej decyzji dziadek nie

zaakceptował. Nie złożył nowemu emirowi przysięgi na wierność. Zebrał plemiona, które nie chciały uznać nowego władcy, i poprowadził je do ataku na cytadelę. Był pewien, że cały naród pójdzie za nim, jednak zbyt długo przebywał poza krajem. Ludzie zapomnieli o nim, natomiast powszechny szacunek zdobył jego młodszy brat.

- Wielu zginęło w tej walce?

- Nikt. Kiedy sojusznicy dziadka zorientowali się, że nie mają poparcia wśród rodaków, szybko zawarli pokój z nowym emirem.

- Trochę jak w szekspirowskiej tragedii.

- Pewnie tak... W każdym razie dziadek nie ugiął się. Przecież nawet po tej rebelii, gdyby uznał swego brata za władcę i ukląkł przed nim, mógłby zostać w kraju i odegrać ważną rolę. Za nic jednak nie chciał się upokorzyć. Wtedy emir skazał go na banicję i zabronił używać rodowego nazwiska. Zostawiono mu tylko zabezpieczenie finansowe, przyznane mu jeszcze przez ojca jako rekompensatę za to, że nie zostanie emirem.

- Czy kara ta objęła również twojego ojca?

- Tylko *jaddi* został skazany na banicję, ale w praktyce konsekwencje ponoszą wszyscy potomkowie. Syn nosi nazwisko ojca, więc...

- A więc ty jesteś teraz Al-Zaki, a nie Al-Khatib.

- Niestety... Tyle że mój ojciec i ja możemy bez przeszkód jeździć do Ramal Hamrahn. W stolicy mam mieszkanie i biuro. Jednak dla emira tak jakbym nie istniał.

Nigdy nie otrzymał odpowiedzi na swoje listy, nie wyznaczono mu miejsca w *majlis*, czyli parlamencie. Nie ma możliwości stanąć przed emirem i błagać o litość nad umierającym człowiekiem. Dopiero teraz dzięki Lucy pojawiła się szansa.

- Kal, a jak to będzie, kiedy księżniczka Sabirah zastanie cię tutaj?

- Nie martw się, Rose. Jej Wysokość nie zrobi niczego, co byłoby krępujące dla drogiego gościa z dalekiego kraju.

Na to właśnie liczyła Lucy. Księżniczka Sabirah, przybywając tu z wizytą, nie może sobie pozwolić na zignorowanie Kala. Dla drogiego gościa, dla lady Rose byłoby to co najmniej dziwne. Jest więc szansa, że przy sprzyjających okolicznościach księżniczka wysłucha jego prośby o wstawienie się za dziadkiem u emira. Wysłucha błagania o litość dla umierającego człowieka.

Do stołu podeszła Yatimah i zaczęła sprzątać. Lydia była zadowolona z przerwy w rozmowie. Potrzebowała kilku minut, żeby dojść do siebie. Skarcić siebie za długi język. Stanowczo za dużo naopowiadała Kalowi o rodzicach, swoich, nie lady Rose. Jak mogła być tak nieostrożna!

Yatimah, odchodząc od stołu, spytała, czy podać kawę. Odpowiedzi w języku arabskim udzieliła niespodziewanie lady Rose:

- *Nam. Shukran.*

- Świetnie dajesz sobie radę - pochwalił ją Kal.

- Dziękuję. Zawsze, kiedy jestem w obcym kraju, staram się nauczyć kilku słów w miejscowym języku, chociażby dzień dobry i dziękuję. - By uprzedzić ewentualne pytanie Kala, w jakich to krajach była, szybko zmieniła temat. - O której godzinie idziemy na ryby?

- Na ryby? Może sobie odpuścimy? Poczekamy, aż nadejdzie dzień, kiedy rzeczywiście nie będziemy mieli ciekawszego zajęcia.

- Dobrze. - Lydia starała się nie pokazać po sobie, jak bardzo ucieszyło ją takie rozwiązanie. - Ale szybko to nie nastąpi. Mam co robić. Przede wszystkim muszę dokładnie poznać ten przepiękny ogród. Poza tym wylegiwanie się koło basenu, z książką oczywiście. Mam ich cały stos.

- A może do rozkładu dnia wstawimy lekcje arabskiego?

- Kal! Ja mam zamiar wylegiwać się na słońcu!

- Możesz się uczyć i leżeć plackiem w słonecznych promieniach, prawda? Nauka obcego języka to nie jest mordercza praca. Chcesz się o tym przekonać? - Jego głos zmienił się, stał się niski, uwodzicielski. - Na początek coś naprawdę prostego... - Patrząc na nią intensywnie, podniósł jej dłoń do swoich ust. Temperatura ciała Lydie natychmiast wzrosła o kilka stopni. Kal dotknął wargami koniuszka jej małego palca. - *Wahid.*

- *Wahid?* Czyli co?

- Jeden. - Jego usta przesunęły się na palec serdeczny. - *Ithnan.* Dwa.

- *Ithnan* - powtórzyła z niejakim trudem. Przecież cała topniała w środku.

Thalatha. Arba'a. Khamisa. Trzy, cztery, pięć. Jeszcze trzy palce, jeszcze trzy muśnięcia ciepłych warg Kala. Miał rację, nauka języka obcego wcale nie musi być morderczą pracą. Może okazać się rozkoszna.

Odruchowo podała mu drugą rękę, żeby stosując tę samą metodę, nauczył ją dalszych liczb, od sześciu do dziesięciu.

Nauczył, a po skończonej lekcji nie wiadomo jakim cudem zdołała powiedzieć całym przytomnie:

- *Shukran*, Kal.

Do pokoju weszła Yatimah, niosąc na tacy mosiężny dzbanek z kawą i dwie filiżanki. Jednocześnie odezwała się komórka Lydii, dając znać, że dostała SMS-a.

- Przepraszam - powiedziała, wyciągając komórkę. - To może być od...

Nie, słowo „dziadek” jakoś nie chciało przejść jej przez gardło.

Od kogo ten SMS? Od matki? „Baw się dobrze, córeczko” czy coś w tym stylu.

Nie, od Rose. Połowa liter połknięta, ale Lydia zrozumiała, o co chodzi:

KoniecznTie zdjęcie do jutrzejszej porannej gazety na pierwszą stronę.

Na moment wszystko w niej zamarło. Ktoś rozpoznał Rose?!

Może nie jest tak źle, po prostu Rose chce komuś udowodnić, że faktycznie jest w Bab el Sama.

Szybko wystukała „OK”, potem „Wyślij” i schowała komórkę do kieszeni.

- Jakiś problem? - spytał Kal.

- Ależ skąd.

Yatimah napełniła filiżanki aromatycznym płynem koloru słomy. Takiej kawy Lydia jeszcze nie widziała. Ale nie kawa była teraz najważniejsza, tylko plan działania. Różnica czasu z Londynem wynosi cztery godziny. Tam jest wcześniej, dzięki czemu zdjęcie zrobione dziś w Bab el Sama będzie mogło ukazać się jutro w porannej gazecie. Z tym że do wykonania zadania należy zabrać się jak najszybciej. Innymi słowy, trzeba pokazać się w jakimś eksponowanym miejscu. Lydia ma być w skąpym stroju ima być sama.

Wiadomo, na co polują paparazzi: na Rose w objęciach Ruperta Devenisha. To jednak nigdy nie miało się zdarzyć. Niemniej paparazzi powinni warować tu, w Bab el

Sama, przez cały tydzień. By trzymać ich w szachu, Lydia i Rose zaplanowały coś w rodzaju stopniowego striptizu. Pierwszy występ - spacer po plaży w szortach i rozpiętej bluzce, pod spodem kostium kąpielowy. Występ drugi - ten sam kostium kąpielowy i tylko szorty. Na koniec Lydia miała przeparadować w samym kostiumie, na szczęście skromnym, jednoczęściowym. Tak wyglądał plan podstawowy, oczywiście dopuszczalne były zmiany w zależności od zaistniałej sytuacji. Z tym że lady Rose bezwzględnie ma być na plaży sama. Jak więc rozwiązać problem anioła stróża? Kal nie zabraniał Lydii spacerować samej po ogrodzie odseparowanym od reszty świata, jednak spacer po plaży to całkiem coś innego...

Patrzył, jak Rose maleńkimi łyżkami pije gorącą kawę. W tym SMS-ie nie było dobrych wiadomości, to oczywiste. Rose wyraźnie zbladła, poza tym nie trzeba być specjalistą od mowy ciała, by zorientować się, że najchętniej by już sobie stąd poszła.

Dlaczego więc tego nie robi? Dlaczego nie powie czegoś w stylu:

- Dzięki, lunch był pyszny... Zobaczmy się później... Wybacz, ale mam coś pilnego do zrobienia.

Nic z tego. Siedzi jak na rozżarzonych węglach, ale udaje, że nic się nie dzieje. Prawdziwy dżentelmen starałby się ułatwić jej sytuację. Pod byle pretekstem po prostu by sobie poszedł, a ona mogłaby udać się tam, gdzie jej wola. Ale człowiek odpowiedzialny za bezpieczeństwo lady Rose nie będzie się bawił w dżentelmena, skoro była mowa o zagrożeniu.

- Taką kawę pijemy na deser - powiedział. - Ziarna nie są mielone, ale gotowane w całości z dodatkiem kardamonu. To dobre na trawienie.

- Naprawdę? Nigdy jeszcze takiej nie piłam. Bardzo dobra - wyrzuciła z siebie jednym tchem i odstawiła pustą filiżankę, wyraźnie zbierając się do odejścia.

- Dobry obyczaj każe wypić dwie filiżanki, Rose.

- Dwie?

- Bez obaw, filiżanki są bardzo małe. Weź ją, trzymaj w taki sposób. - Zademonstrował, Rose polizła za jego przykładem. - Yatimah należy ci kawy.

Drugą kawę wypija prawie jednym haustem i oddała filiżankę Yatimah, która znów ją napełniła, tym razem po raz trzeci.

- Jeśli nie masz już ochoty na kawę, musisz potrząsnąć filiżanką, o tak. - Znów zademonstrował, Rose powtórzyła jego gest. - Wtedy wiadomo, że masz już dość.

Faktycznie, Yatimah nie nalała kawy po raz czwarty, co więcej, na wyrażone gestem polecenie Kala w ogóle zniknęła.

- Kal, przepraszam, pójdę już - powiedziała Rose. Wezmę książkę i poszukam cichego miejsca do czytania. Chyba nie musisz mnie pilnować?

- Nie, jeśli będziesz czytać w ogrodzie.

- A na plaży? To plaża prywatna, prawda?

- Tak. Nikt obcy nie ma prawa z niej korzystać, ale na rzece jest mnóstwo łodzi, w każdej z nich może być paparazzi. Na plażę nie powinnaś iść sama.

- Lady Rose Napier spacerująca po plaży w towarzystwie nieznanego mężczyzny? Czy wiesz, jaka to dla nich gratka? Lepiej zostanę w ogrodzie.

- W porządku. Zobaczymy się przy obiedzie?

- Oczywiście.

Wyraźnie odczuła ulgę, że tych kilka godzin spędzi bez niego. Może i czułby się urażony, gdyby nie był pewien, że wcale nie chodzi o niego.

Tylko o co? Oto jest pytanie...

Rose wstała od stołu, z uśmiechem pomachała mu na pożegnanie i wyszła.

Wtedy on też wstał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Lydia w poszukiwaniu kostiumu kąpielowego piorunem przejrzała szuflady, zmuszając się do obojętnego potraktowania cudownych jedwabi, kaszmirów I najcieńszego płótna. Obejrzy sobie później te cuda od lady Rose.

Od której nie wzięła ani pensa. Opłacony tydzień wakacji był wystarczającą rekompensatą, poza tym robiła to dla milady z sympatii, szacunku i wdzięczności, a nie dla pieniędzy. Rose jednak znalazła sposób, żeby dodatkowo ją wynagrodzić. Po prostu zapakowała do toreb o wiele więcej ubrań, niż trzeba było zabrać na kilkudniowy wypoczynek nad wodą. Były to rzeczy całkiem nowe, nienoszone. I te wszystkie rzeczy Lydia miała zatrzymać, na inne rozwiązanie Rose absolutnie się nie zgadzała.

Samych kostiumów kąpielowych było kilka, wszystkie markowe, bardzo ładne i ozdobione charakterystycznym akcentem, to znaczy różą, oczywiście różową. Lydia po namyśle zdecydowała się na czarny jednoczęściowy kostium z wyhaftowaną różą. Łodyżka z listkami zaczynała się na prawym biodrze, szła przez brzuch w górę na ukoś, kwiatek rozkwitał tuż nad sercem.

Kostium był w sam raz na nią i był rewelacyjny.

Przytrzymał lub unosił w najbardziej odpowiednich miejscach. Lydia jednak nie traciła czasu na podziwianie siebie w lustrze. Włożyła niebieski kaftan, przyczesła włosy i chwyciwszy pierwszą z brzegu książkę, wybiegła z pokoju.

Kal stał w zacienionym miejscu pod występem skalnym i lustrował przez lornetkę okolicę. Na pierwszy rzut oka sielanka. Rybacy, handlarze i inni tutejsi mieszkańcy w swoich łodziach. - Spojrzał na zegarek. Jak długo będzie jeszcze czekać na Rose? Nie wiadomo, ale przyjdzie. Na pewno był gotów się o to założyć.

Wyjął BlackBerry i wpisał do wyszukiwarki imię i nazwisko Roseanne Napier. Było tam zdjęcie rozpromienionej lady Rose zrobione wczoraj, kiedy wychodziła z hotelu po lunchu Klubu Różowej Wstążki Pod spodem informacja, że lady Rose wyjeżdża na tydzień do Bab el Sama i bardzo się z tego cieszy. Ciekawe, czy jedzie tam sama, czy z kimś.

Były też inne fotografie, jedna sprzed wielu tygodni. Rose i Rupert Devenish. Na tym zdjęciu Rose nie wyglądała promiennie. Może była zmęczona, może kamera ustawiona była pod niewłaściwym kątem w każdym razie milady nie miała w sobie tego blasku, który zachwycił Kala, gdy po raz pierwszy zobaczył ją na żywo.

Nagle usłyszał odgłos cichych kroków stawianych przez nogi obute w japonki. A więc Rose przysła. Miała na sobie niebieski kaftan, książkę trzymała w ręce. Zeszła po kamiennych schodkach i przystanęła w zacienionym miejscu. Spojrzała w lewo, potem w prawo. Było jasne, że sprawdza, czy na plaży nie ma nikogo.

Położyła książkę na kamiennym stopniu. Z kieszeni kaftana wyjęła komórkę i położyła na książce. A potem...

Potem ściągnęła przez głowę kaftan, odsłaniając to, co miała pod spodem. Czarny jednoczęściowy kostium kąpielowy podkreślający każdą linię ciała. Perfekcyjnego ciała, dodać należy. Wysmukła szyja ozdobiona złotym łańcuszkiem z wisiorkiem w kształcie różyczki, eleganckie ramiona o odpowiedniej szerokości, szczupła talia, łagodnie zarysowane biodra i nieskończenie długie nogi o idealnych kostkach i długich, wąskich stopach.

Powiesiła kaftan na drzewie i na moment znieruchomiała, jakby zbierała się na odwagę.

- Nie rób tego! - chciałby zawołać, bo doskonale wiedział, o co chodzi. Jutro na pierwszych stronach gazet ukaże się zdjęcie lady Rose tylko w kostiumie kąpielowym. I to zdjęcie obejrzą miliony facetów.

Rose wyszła na pełne słońce. Ramiona wyprostowane, głowa wysoko uniesiona, łagodny wietrzyk rozwiewał długie, jasne włosy.

Jaka ona piękna...

Przeszła kilka kroków i pochyliła się, żeby coś podnieść. Szkiełko wygładzone przez piasek i wodę. Podniosła je wysoko, żeby spojrzeć pod słońce.

I w tym właśnie momencie Kal usłyszał niosący się po wodzie charakterystyczny odgłos. Odgłos flesza. Spojrzał przez lornetkę na wodę i wypatrzył podejrzaną błyszczącą plamę. Było to odbicie obiektywu kamery, rzecz oczywista, jednak gdzie jest kamera?

Tam. Schowana pod brezentem, którym przykryta jest motorówka przycumowana wśród innych łodzi. Ustawiona tak sprytnie, że nazwa jest niewidoczna.

Najchętniej pobiegłby do Rose i porwał ją za skały. Po prostu by ją schował. Wiedział jednak doskonale, że nie wolno mu ruszyć się z miejsca. Za nic nie może dopuścić, by sfotografowano ich razem, jego i Rose. Pod tym względem zgadzał się z nią całkowicie.

Jego tożsamość ustalono by po pięciu minutach i na łamach prasy od razu by odżyły barwne dzieje dziadka playboya, ojca playboya oraz syna playboya, czyli Kala. No i te spekulacje na temat tego, co on tam robi razem z lady Rose. Nikt nie uwierzy, że facet siedzący na milionach, właściciel i prezes zarządu firmy zajmującej się frachtem lotniczym, towarzyszy lady Rose Napier jako jej... ochroniarz.

Dziadek Rose, stary książę, na pewno dostałby apopleksji, a emir byłby wściekły. To jedno głupie zdjęcie odebrałoby Kalowi ostatnią szansę na spełnienie marzenia dziadka.

Kalowi nie pozostaje więc nic innego, jak stać pod występem skalnym i biernie patrzeć, co robi lady Rose.

Ona zaś chodziła po brzegu i co jakiś czas schylała się, żeby podnieść muszelkę albo kamyczek. Prostowała się, unosiła rękę i wdzięcznym ruchem odgarniała włosy. Jednym słowem, sama wystawiała się pod obiektyw paparazziemu.

Kal czuł, że za chwilę trafi go szlag.

Ciekawe, kto napisał tego SMS-a, który ją do tego skłonił.

Spojrzał na ocieniony kamienny stopień, gdzie leżała komórka Rose. Na niebieski kaftan zwisający z gałęzi drzewa...

Lydia przez chwilę postąpiła tuż nad wodą, rozkoszując się tym cudownym odczuciem, kiedy stopy grzęzną w mokrym piasku. Morze to jest bajka! Przed wielu laty mała Lydia razem z rodzicami bardzo często jeździła nad morze. Podczas jednego z takich wyjazdów nazbierała całe wiaderko muszelek. Kiedy szykowali się do powrotu do domu, okazało się, że muszelki w wiaderku potwornie cuchną, więc ojciec stanowczo się nie zgadzał, by zabrać je do samochodu. Lydia rozpaczliwie szlochała, a mama, jak to ma-

ma, wybrała najpiękniejszą muszelkę, umyła ją, wysuszyła i dała Lydii czerwone metalowe pudełko w kształcie serca, żeby tam przechowywała swój skarb.

To pudełko Lydia miała do dziś, a w nim zdjęcia rodziców. Roześmiany ojciec, którego córeczka polewa wodą z ogrodowego węża. Mama razem ze swoim szefem, słynnym projektantem mody, u którego pracowała przed wypadkiem. Było tam też wycięte z gazety zdjęcie piętnastoletniej Lydii, kiedy po raz pierwszy wystąpiła zrobiona na lady Rose.

Dorzucała do pudełka różne drobiazgi związane z pierwszymi porywami serca, a potem, tonąc w łzach, wszystko to wyrzuciła. Oprócz jednej pamiątki, programu teatralnego. Jedno złe wspomnienie, też ważne, bo ze złych wspomnień wyciąga się nauczkę.

Wszystkie pozostałe drobiazgi związane były z występami w roli lady Rose. Związane z drugim życiem Lydii, nierzeczywistym, w którym była kimś innym.

Spojrzała w dół, na mokry piasek, i zauważyła muszlę ostrygi wygładzoną przez fale. Podniosła ją, starannie opłukała w morskiej wodzie i spojrzała do środka na przepięknie opalizującą różowo-niebieską macicę perłową.

Nowa pamiątka do czerwonego pudełka w kształcie serca. Przypominać będzie spacer po plaży w dalekim egzotycznym kraju, przypominać też będzie, jak Kal Al-Zaki podczas lekcji arabskiego całował jej palce. I będzie to ostatnia pamiątka związana z udawaniem lady Rose. Po powrocie z Bab el Sama ten rozdział w życiu Lydia zamknie na zawsze. Koniec udawania. Najwyższa pora zacząć żyć tylko swoim własnym życiem, zbierać wspomnienia dotyczące tylko Lydii Young.

Przeszła jeszcze kawałek brzegiem i zdecydowała, że pora wracać. Czas mijał, może zaczęto się już niepokoić jej przydługą nieobecnością. Była prawie pewna, że przy kamiennych schodkach zastanie Yatimah, z niezadowoloną miną warującą przy rzeczach lady Rose. Ale nie, nie było tam nikogo. Nie było także kaftana na gałęzi. Zapewne lekki jak piórko pofrunął gdzieś wraz z wiatrem. Może między te skały...

Weszła w chłodny cień między kamiennymi ścianami. I nagle znalazła się wyżej. Mocarne ręce poderwały ją z ziemi. Oczywiście od razu zaczęła się bronić. Waliła napastnika po ramieniu, zadrapała muszlą. Miała też wrzasnąć:

- Ratunku, pomocy!

Jednak duża dłoń zakryła jej usta.

- Szuka pani czegoś, lady Rose?

Kal... Co tak naprawdę od razu podejrzewała. Ten leśny zapach... Pozna go po nim wszędzie.

- To ty? Byłam pewna, że pluskasz się w basenie albo siedzisz z wędką!

- A ja byłem pewien, że siedzisz koło basenu i czytasz książkę!

Postawił ją z powrotem na ziemi. Owszem, była zdyszana, ale i dumnie wyprostowana. Zmierzyła Kala chłodnym, arystokratycznym wzrokiem.

- Oczywiście, że będę czytać. Przedtem postanowiłam trochę się przejść.

- A przy okazji dać zarobić jednemu z twoich paparazzich?

Arystokratyczny chłód znikł.

- Chwileczkę! Czy ty przypadkiem nie dorwałeś się do moich SMS-ów?!

- Oczywiście, że nie - wycedził. - Wystarczy to, co widziałem. Przekonałem się na własne oczy, że nie potrafisz wytrzymać nawet tygodnia bez swojego zdjęcia na pierwszych stronach gazet. Dlatego wymknęłaś się na plażę!

- Rozumiem. Dlatego mnie teraz wystraszyłeś. Żeby ukarać?!

Nie odpowiedział, jedynie sięgnął za załom skalny, gdzie schował niebieski kaftan, jednak Rose interesowała tylko ręka Kala.

- O Boże! Skaleczyłam cię! Trzeba koniecznie przemyć ranę! Muszle są bardzo niebezpieczne, możesz dostać zakażenia! Kal, ja to wiem, byłam na kursie udzielania pierwszej pomocy. Proszę, chodźmy do domu!

Nie protestował, zgarnął tylko rzeczy Rose i podążył karnie za nią. Kiedy wchodzili po schodach, wpisał do komórki Rose numer swojego telefonu, a sobie wpisał jej numer.

Zaprowadziła go do pokoju, w którym ją ulokowano, po czym pomaszerowała do łazienki, a Kal posłusznie za nią.

- Rose, wpisałem ci do komórki mój numer, tak na wszelki wypadek.

- Dobrze, dobrze - mruknęła, otwierając szafkę z kosmetykami i przyborami toaletowymi. - Siadaj?

Usiadł na szerokiej wyściełanej ławce. Rose odnalazła w szafie podręczną apteczkę i wyjęła z niej chusteczki antyseptyczne.

- Dlaczego to zrobiłaś, Rose? - spytał, kiedy pochyliła się nad jego ręką, widział więc tylko czubek jej głowy.

- Nie martw się, Kal. Nie wygląda to groźnie. Masz szczęście, że nie jestem w butach na obcasach. Ukończyłam kurs samoobrony.

- Nie chodzi mi o to, że mogłaś odrąbać mi rękę, tylko o tych paparazzich. Dlaczego rozbierasz się przed nimi?

- Rozbieram?! - Oburzona ponad wszelką miarę na moment poderwała głowę. - Byłam w kostiumie kąpielowym! Jednocześnie!

- Tak, tak... - Jego zdaniem wyglądała w tym kostiumie bardziej seksownie niż cała gromada dziewczyn w topless.

Znów pochyliła się nad raną, a po chwili spytała:

- Widziałeś go?

- Tak. Czatuje koło ujścia rzeki, świetnie się maskuje. - Byłby przysiągł, że chwyciła ją ta informacja. - Rose, dlaczego to zrobiłaś?

Podeszła do marmurowej umywalki i napełniała ją ciepłą wodą.

- To taka gra, Kal. Potrzebujemy siebie nawzajem, celebryci i paparazzi. Celebryci potrzebują nagłówków w gazetach, media potrzebują sensacji.

Zanurzyła ręce w wodzie i zaczęła się rozglądać. Za mydłem, to jasne. Kal wstał, wziął z kryształowej mydelniczki kawałek mydła, ale nie podał Rose, tylko stanął tuż za jej plecami. Ręce wyciągnął do przodu, w ten sposób trzymał Rose w pułapce.

Zanurzył dłonie w wodzie i zaczął namydlać dłonie Rose.

- Kal... - zaprotestowała, nie wypadło to jednak przekonująco.

- Powiedz, Rose, o jaką sensację w twoim przypadku chodzi?

- Koniecznie chcą przyłapać mnie in flagranti z Rupertem Devenishem. On jest moim...

- Wiem, przecież czytam gazety, ale powiedz szczerze... Chodzi o to in flagranti. Możliwe jest takie zdjęcie czy nie? - Spytał, choć wydawało się to raczej nieprawdopo-

dobne. Czuł przecież, jak Rose mięknie w jego ramionach, bez żadnych oporów pozwala umyć sobie ręce...

- Nie - oznajmiła. - Tu, w Bab el Sama, mogą upolować tylko pełne smutku zdjęcie samotnej lady Rose spacerującej po pustej plaży.

Coś tu nie grało, i to bardzo. Lucy mówiła wyraźnie, że Rose ma dość nieustannej ingerencji w życie prywatne, a oto podchodziła do tego na luzie, wręcz pogodnie.

Rose coś ukrywa, a to go wkurzało. Sięgnął po ręcznik, wytarł jej starannie ręce.

- Jutro możesz zaserwować im topless, zdjęcie będzie jeszcze ciekawsze.

- Jutro? Za późno...

Dziwne. Wcale nie oburzył ją ten topless. Istotny był wyraz „jutro”.

O co w tym wszystkim chodzi? Wiadomo, że z jakiegoś powodu Rose chce, żeby jej zdjęcie ukazało się w gazecie, i to koniecznie jutro. Może ma to jakiś związek z tym enigmatycznym zagrożeniem, o którym mówił Lucy dziadek Rose? Może ktoś ją szantażuje?

Lecz kto chciałby skrzywdzić pieszczoszkę całego narodu?

Chyba że... chyba że ta kobieta nie jest prawdziwą lady Rose.

Już na lotnisku, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, jak wchodziła do sali dla VIP-ów, uderzyło go, że wygląda inaczej niż na zdjęciach. No i nieopuszczające go wrażenie, że ma do czynienia z rozdwojeniem osobowości. Dystygowana lady Rose Napier, a gdzieś tam w środku inna, pełna temperamentu kobieta, która momentami dochodzi do głosu. I to ta niepohamowana kobieta, ukryta pod maską milady, tak działała na Kala. Do takiego stopnia, że zaczynał lepiej rozumieć dziadka. Dotarło do niego, że z powodu kobiety mężczyzna może się zatracić, a przy okazji stracić ojczyznę.

Kal poszedł dalej tym tropem. Prawdziwa lady Rose najpewniej przebywa obecnie w jakimś cichym zakątku z tym swoim Rupertem. A ta kobieta, łudząco do niej podobna, ma za zadanie skupić uwagę mediów na Bab el Sama...

Nieważne. Prawdziwa czy nieprawdziwa, jest piękna i ponętna...

Ciepłe, wilgotne wargi Kala dotknęły szyi Rose. Przesunęły się w górę, musnęły podbródek, na koniec musnęły usta.

- Nieważne, kim jesteś - szepnął - Zaufaj mi.

Lydia doskonale słyszała jego słowa. Oczywiście, że powinny ją zastanowić.

Ale nie teraz, kiedy trzymał ją w ramionach mężczyzna, którego pożądała tak bardzo, że traciła rozum. Nie teraz, kiedy cały świat odpłynął.

Tylko ona i on. I zmysły. Zapach, smak, dotyk.

Delikatnie musnęła twarz Kala. Szerokie czoło, wąski nos z garbkim, policzki, pięknie wykrojone usta. Przez cienką warstwę materiału doskonale wyczuwała reakcję jego ciała, całkiem jednoznaczną bez dwóch zdań...

- Proszę, Kal...

Jej cichutki szept sprawił, że Kal Al-Zaki, człowiek zwykle trzeźwy i opanowany, na jedną chwilę udzielił sobie dyspensy. Zapomniał, kim jest, gdzie i dlaczego. Zaczął spijać zachłannie słodycz tej kobiety z jej ust gładkich jak jedwab. Kobiety tak cudownej, mądrej, ślicznej, uosabiającej wszystko, co mógł wymarzyć sobie mężczyzna. Tak uległej, tak ufnej...

A jednak... A jeśli to gra? Może fałszywa Rose chce gorącym pocałunkiem kupić sobie jego milczenie?

Poderwał głowę.

- Powiedz, kim naprawdę jesteś i po co tu przyjechałaś.

Nie odpowiadała, zacisnęła tylko mocno powieki, jakby w ten sposób chciała odgrodzić się szczelnie od jego słów.

Od wszystkiego.

- Musisz mi powiedzieć! Jesteś Rose? Czy nią nie jesteś?!

Zadrzała. Spod powieki wypłynęła srebrzysta kropelka.

Głos też był bardzo drżący.

- Może... może napijemy się herbaty?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Herbaty! Ona chce herbaty, a on najchętniej objąłby ją z całej siły, trochę narzeczcał, a potem kochał się z nią.

Oczywiście przyniósł herbatę. Taką, jaką chciała. Z torebki, odrobinę mleka, dwie łyżeczki cukru i w kubku.

- Powiesz mi, kim jesteś? - spytał, kiedy usiedli na balkonie. - Bo nie Rose, prawda?

- Nie... - Lydia ostrożnie wypła pierwszy łyk gorącego płynu. - Jestem Lydia Young, jej sobowtór. To moja dodatkowa praca.

- Lydia... - powtórzył cicho Kal, jakby utrwał to imię w pamięci. - Od kiedy to robisz?

- Od dziesięciu lat. Kiedy zaczynałam, miałam piętnaście. Jestem o kilka miesięcy młodsza od Rose. Kal, kiedy się zorientowałeś, że nie jestem prawdziwą lady Rose?

- Od samego początku miałem wrażenie, że mam do czynienia z dwoma osobami. Poza tym miałaś wpadki. Na przykład trudno mi sobie wyobrazić matkę lady Rose Napier, która własnoręcznie szykuje lunch. No i ten SMS. Zdenerwowałaś się, od razu było wiadomo, że jak tylko się mnie pozbędziesz, pójdziesz na plażę. Kiedy czekałem tam na ciebie, wszedłem do internetu i obejrzałem zdjęcia lady Rose. I twoje, bo w tym sprytnym kapeluszu z woalką jesteś przecież ty, prawda?

- Tak. Zauważyłaś różnicę? A ja, idiotka, myślałam, że woalka wystarczy. Powinam była bardziej popracować nad makijażem! O matko! A może już wszyscy...

- Spokojnie, nic się nie dzieje. Absolutnie żadnych, nawet najbardziej ostrożnych sugestii. Ja poznałem, bo mam możliwość porównania. Rose oglądam na tysiącach fotografii, a ciebie mam tutaj żywą. Lydio, powiedz, po co to wszystko? Gdzie jest Rose Napier? Ukryła się gdzieś z Rupertem Devenishem?

- Mam nadzieję, że nie z nim.

- Lucy też nie jest jego fanką. Znasz go?

- Widziałam go tylko raz. Po prostu dziadek Rose, tylko o trzydzieści lat młodszy. Był razem z Rose, wtedy ją też po raz pierwszy zobaczyłam na własne oczy. Pewna fir-

ma zorganizowała w hotelu promocję nowego produktu. Wynajęli mnie, sobowtóra lady Rose. Tak się złożyło, że w tym samym czasie w hotelu był lunch dla członków Klubu Różowej Wstążki, a honorowym gościem była lady Rose. Nie miałam o tym pojęcia. Kiedy po promocji zbierałam się do domu, nagle stanęłam twarzą w twarz z prawdziwą lady Rose. Omal nie umarłam, ale okazała się wręcz aniołem. To wszystko prawda, co o niej mówią, Kal.

Uśmiechnął się, pogłaskał ją po policzku.

- A ty nie zawsze jesteś aniołem, Lydio. Między innymi dlatego zacząłem się zastanawiać.

Znów napiła się herbaty, po czym kontynuowała opowieść:

- Rose zamieniła ze mną kilka słów, tylko kilka, bo Rupert, który czekał na nią w drzwiach, zaczynał się niecierpliwić. Wtedy właśnie miałam okazję mu się przyjrzeć. Rose zapytała mnie, ile biorę za taki występ, na wypadek gdyby zapragnęła mieć wolny wieczór.

- A ile bierzesz?

- Za przyjazd tutaj nie wzięłam nic. Uważam, że mam pewne zobowiązania wobec Rose. A zwykle... Kal, ja muszę dorabiać. Kiedy miałam dziesięć lat, rodzice mieli wypadek samochodowy. Ojciec zginął, mama przeżyła, ale porusza się na wózku inwalidzkim. W jednej chwili straciła męża, zdrowie i pracę...

- Bardzo wam współczuję, Lydio. Wyciągnął rękę, wyraźnie chciał ją pogłaskać, ale

Lydia odsunęła głowę. Po prostu bała się, że kiedy Kal zacznie ją pocieszać, rozklei się, a miała już i tak wystarczająco dużo problemów.

- Powiedziałaś, że to twoja dodatkowa praca?

- Tak. Robię to dwa, trzy razy w miesiącu, a na co dzień pracuję w supermarkecie, jestem kasjerką. Mam bardzo wyrozumiałego kierownika, nie robi żadnych problemów, kiedy muszę poprzesuwać godziny pracy...

O mały włos, a powiedziałaaby mu, że kierownik chce na siłę wysłać ją na kurs menadżerski. Idiotka, jakby koniecznie chciała się dowartościować...

- A ja, jak już mówiłam, muszę dorabiać. Dzięki dodatkowym pieniądząom życie mojej matki bardzo się zmieniło. - Elektryczny wózek inwalidzki. Maszyna do szycia obsługiwana ręcznie. Samochód, na który Lydia długo oszczędzała.

- Czyli, tak jak Rose, nie masz licznej rodziny?

- Nie, tylko matkę.

- I tak jak Rose nie żyjesz z żadnym facetem?

- No... nie.

- Trudno uwierzyć! Taka piękna, pełna życia kobieta jak ty...

- Po prostu nie mam już na nic czasu, Kal. Opieka nad chorą matką, praca na cały etat, dorabianie jako lady Rose.

- Kto teraz jest z twoją matką?

- Jej przyjaciółka. Zawsze opiekuje się mamą, kiedy wyjeżdżam na urlop albo kiedy chcę wyjść... Kal, to nie jest tak, że nie umawiam się z nikim. Wychodzę sobie tu i tam, ale... ale jestem bardzo ostrożna. Bo widzisz, nigdy nie wiem tak do końca, czy facet umawia się ze mną, Lydią Young, czy tylko dlatego, że jestem podobna do lady Rose. Poza tym nie jestem dobrą dziewczyną na randki. U mnie zawsze na pierwszym miejscu są matka i praca. Choć jeden facet okazał się wyjątkowo cierpliwy...

- Kto?

- Powiedział, że jest studentem prawa. Zawsze przychodził do mojej kasy, zagadywał, przynosił prezenciki, bukietiki. Podrywał mnie, ale nie nachalnie. Dopiero po kilku tygodniach chciał się ze mną umówić. I dopiero po kilku miesiącach zaproponował... wiadomo co, a ja dosłownie chodziłam już po ścianach. Specjalnie mnie przetrzymał.

Mogła zarobić mnóstwo pieniędzy, sprzedając tę historię gazecie, jednak nikomu nie pisnęła ani słowa. Ani matce, ani przyjaciółkom, ani w agencji, która zatrudniała ją jako sobowtóra znanej celebrytki. Ale teraz nie wyobrażała sobie, żeby mogła coś przed Kalem zataić, tym bardziej że już raz go okłamała, udając lady Rose.

- Kiedy zaprosił mnie na weekend, byłam u szczytu szczęścia. Bardzo się starał. Zarezerwował apartament dla nowożeńców w luksusowym hotelu w Cotswolds. Studentów raczej na to nie stać, ale byłam zbyt zakochana, żeby zwrócić na to uwagę.

- I stało się coś złego?

- Nie, do niczego nie doszło, a to dzięki jednej z pokojówek, starszej pani, która ścieląc hotelowe łóżka przez tyle lat, widziała już wszystko. Myślała, że jestem prawdziwą lady Rose. Kiedy spotkała mnie w hotelowym korytarzu, powiedziała, gdzie znajdują się ukryte kamery. Zażądałam od „studenta” wyjaśnień, on przyznał się, że jest aktorem wynajętym przez pewnego fotoreportera, który chce zbić majątek na zdjęciach lady Rose w chwili, gdy traci dziewictwo z jakimś przystojniakiem. Jeden z pracowników hotelowych, współnik w tej aferze, zaproponował mi naprawdę dużo pieniędzy, oczywiście jeśli się zgodzę współpracować. Jak rozumiesz, nie wchodziło to w grę. Rozumiesz też, dlaczego jestem taka ostrożna.

- Byłaś w nim zakochana?

- Sama nie wiem, ale wtedy tak myślałam. Miłość dla mnie to podstawa. Moi rodzice bardzo się kochali, mama do dziś, kiedy wspomina ojca, ma rozmarzone oczy. Stawiam na miłość, mam nadzieję, że Rose też. Ten tydzień z dala od wszystkich jest jej bardzo potrzebny. Na kilka dni stała się zwyczajną kobietą, jeździ moim samochodem, chodzi w moich ciuchach.

- A co to była za panika dziś rano? Z tym SMS-em?

- Musiała się poczuć niepewnie. W końcu nie jest przyzwyczajona, że wszyscy jej mówią, jak bardzo przypomina lady Rose. Dlatego zależało jej na tym zdjęciu, przecież to dowód, że prawdziwa lady Rose jest w Bab el Sama.

- A ty jak reagujesz, kiedy ci to mówią?

- Różnie. Kiedy jakaś staruszka szepnie mi przy kasie, że jestem bardzo podobna do lady Rose, też szepczę, że naprawdę jestem lady Rose, kasjerkę tylko udaję, bo sprawdzam warunki pracy w supermarketach. I bardzo proszę, żeby nikomu o tym nie mówiła. Potem mam niezłą zabawę, kiedy widzę, jak staruszka zaczyna przekazywać tę sensację dalej.

- Jesteś okropna!

- Sam powiedziałeś, że daleko mi do anioła, ale nie zawsze jestem taka wyrefinowana. Bywa, że po prostu z uśmiechem zaprzeczam, lecz nikt mi jeszcze nie powiedział, że oczywiście, na pewno nie jestem lady Rose, niemożliwe, bym nią była. Ale czasami

jestem naprawdę wredna. Uśmiecham się o tak... - Zaprezentowała idealną wersję jednego z najsłynniejszych uśmiechów na świecie, bardziej promiennego o co najmniej sto watów niż jej własny. - I dodaję, że co, tylko trochę jestem podobna do lady Rose? I czekam, że ten ktoś dorzuci pensa ekstra.

- Nigdy nie myślałaś o tym, żeby zostać aktorką?

- Nie. A poza tym... Kal, mam już dość tego udawania, tego życia czyimś życiem. Ale nie mówmy już o mnie. Powiedziałam ci wszystko. Teraz ty. Nie wymigasz się. Na pewno się domyślasz, co najbardziej mnie zastanawia. Dlaczego akurat ty zostałeś ochroniarzem lady Rose?

- Wymyśliła to Lucy, kiedy dziadek Rose narobił paniki. Powiedział, że ktoś jej grozi i nalegał, żeby Lucy wycofała zaproszenie. Ona niezbyt mu wierzy, niemniej zadbała o dodatkową ochronę lady Rose. A wybrała mnie, żeby mi pomóc. Mój dziadek umiera, Lydio. Trzyma się jeszcze życia tylko dlatego, że bardzo chce umrzeć w Ramal Hamrahn, w domu, w którym się urodził.

- Och, Kal... - Współczująco uściśnęła jego dłoń, bo wiedziała, jak bardzo Kal kocha swego dziadka.

- Wiadomo było, że księżniczka Sabirah złoży lady Rose kurtuazyjną wizytę. Dla mnie to wielka szansa, jeśli będę mógł spotkać się z nią i prosić, żeby wstawiła się za moim dziadkiem u emira. Poza tym...

- Poza tym masz nadzieję, że kiedy pozwolą dziadkowi wrócić tu, do Ramal Hamrahn, reszta sama się ułoży. Zostaniesz znów Khatibem, odzyskasz nazwisko, tytuły...

- Przede wszystkim odzyskam to, co mi się należy, Lydio, a czego zostałem pozbawiony. Rodzinę, całą rodzinę. Znów będę z rodu Khatibów.

Z rodu Khatibów. Jak to dumnie zabrzmiało!

- I na żonę wybiorą ci dziewczynę z któregoś z najpotężniejszych rodów w Ramal Hamrahn.

Kal milczał. Czyli wszystko było jasne.

- Ze mną się całowałaś, ale nigdy byś... nie posunął się dalej.

- Mój honor na to nie pozwala.

- Rozumiem... - Niby przytaknęła, lecz miała inną wersję, mniej honorową. Gdyby lady Rose zaczęła romansować z Kalem, na pewno by się to nie ukryło i księżniczce Sabirah nagle by zabrakło czasu na wizytę w Bab el Sama. Wszystkie nadzieje Kala rozwiąłyby się jak dym.

Lydia wstała, otworzyła okiennicę, spojrzała na ogród i nabrała głęboko powietrza. Potrzebowała tego, żeby dojść do siebie, żeby na jej twarzy znów zagościł uśmiech.

- Jestem bardzo zadowolona, że jesteśmy wobec siebie uczciwi. Aha, i proszę, mów do mnie dalej Rose. Z różnych względów.

Uczciwi...

Lydia udaje lady Rose, Kal zamierza dalej z nią współpracować po to tylko, by osiągnąć swój cel. Co prawda cel Kala jest bardzo szczytny. Robi to, bo kocha swego dziadka.

- Kal, zabierzesz mnie jutro na bazar? Chciałabym kupić prezent dla mamy.

Pytanie z podtekstem: czy rzeczywiście dalej gramy w tę grę?

Po sekundzie namysłu skinął głową. Nie miał wyboru. Czas dziadka się kończył, więc nie wolno zmarnować szansy, którą dała Lucy.

Kal zszedł po kamiennych schodkach. Przeszedł się plażą, potem usiadł na dużym kamieniu i zadzwonił do Londynu, do dziadka, by mu opowiedzieć, co teraz widzi. Światła na drugim brzegu, łódzie kołyszące się na wodzie i srebrny księżyc. Opisywał to bardzo dokładnie, by dziadek miał poczucie, że jest razem z nim w Bab el Sama.

Potem zadzwonił do matki, która przekazała mu najnowsze sensacje, przede wszystkim radosną wiadomość, że po raz kolejny zostanie babcią.

- A ty, Kal, kiedy zamierzasz obdarować mnie wnukami?

Pogadał też chwilę z bratem, który studiował na uniwersytecie. Obiecał, że wkrótce do niego wpadnie.

A potem pomyślał, że może to jest właśnie to. Miłość. Ta więź z bliskimi, wspólne sprawy, wspólne wspomnienia. Świadomość, że wystarczy wyciągnąć rękę, a tam czeka już pomocna dłoń.

Miłość...

Telefon nadal trzymał w ręce. Odnalazł numer Rose.

- Kal? To ty?

- Tak. - Czy to możliwe? Słyszysz czyjś głos i twoje serce już śpiewa z radości.

- Gdzie jesteś, Kal?

- Na plaży. Patrzę, jak wschodzi księżyc. Zadzwońłem do dziadka, opowiedziałem mu o tym.

- A teraz dzwonisz do mnie?

- Zbieram wspomnienia, Rose. - Mimo ciepłej treści w głosie pojawił się chłód. Nadal była dla niego Rose... - Wyjdź na balkon.

Słyszał, że poruszyła się, otwiera drzwi. Potem cichy okrzyk, niemal westchnienie.

- Jest. Kal, jest! Ale dopiero wystaje nad koronami drzew!

- Bądź cierpliwa.

Minęła długa chwila. Księżyc wzeszedł i posrebrzył korony drzew w Bab el Sama.

- Dziękuję, Kal.

Powiedziała to tak miękko. Lydia, nie Rose. Następnego dnia po śniadaniu Lydia, spowita od stóp do głów w leciutką jak piórko *abbayyeh*, czyli abaję, tradycyjną arabską suknię z czarnego jedwabiu, wsiadła z Kalem do motorówki i przeprawili się na drugą stronę rzeki. Na bazar.

- Chcesz obejrzeć wszystko? - spytał Kal. - Czy idziemy od razu tam, gdzie są najciekawsze rzeczy?

- Oczywiście, że wszystko! - zdecydowała Lydia, czego potem trochę żałowała. Bo tam, gdzie urzędowali kowale, hałas był nie do wytrzymania, żar buchał, iskrami sypało na wszystkie strony. Bardzo głośni byli również blacharze i cieśle reperujący meble. Ucichło, kiedy weszli w rejon krawców, każdy z nich gotów w godzinę lub dwie zrobić poprawki w twoim ubraniu. Potem zaglądali do małych sklepików pełnych egzotycznych produktów, których nie było na półkach w supermarkecie, drugim domu Lydii. Skosztowała tureckiego smakołyku przyprawionego kardamonem, napiła się herbaty z wielkiego termosu i zjadła lepkie ciasteczko.

Zauważyła, że mnóstwo kobiet, tak jak ona, ma na europejskie ubrania narzuconą abaję. Spod czarnej sukni wyglądały kostiumiki, spodnie, zwyczajne sukienki. I chociaż

jasne włosy Lydii i niebieskie oczy zdradzały, że jest cudzoziemką, nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Przyzwyczajeni są do cudzoziemców - powiedział Kal. - Lucy przyjeżdża tu często, zaprasza swoich znajomych. Jeden z naszych kuzynów, Zahir, ożenił się z Angielką, uroczym rudzielcem. Zahir też działa w branży lotniczej, ale wozi ludzi, a ja przesyłki. Lydio, zdecydowałaś się już na coś?

- Jeszcze nie. Tyle tu pięknych rzeczy...

- Więc może to? - Podeszedł do straganu z tkaninami i wskazał belę pięknego grubego kremowego jedwabiu, idealnego na suknię ślubną.

- Nie, Kal. To piękny materiał, ale na pewno go nie wykorzystam

- Ale możesz go mieć. - Powiedział coś po arabsku do sprzedawcy, ku przerażeniu Lydii wskazując wszystkie cztery bele materiału wyłożone na straganie.

Poszli dalej. Lydia oczywiście nie ustawała w protestach.

- Kal, ale po co aż tyle? Co ja z tym zrobię? I przecież nie zapłaciłam...

- Dostarczą do domu, Dena ureguluje należność. Chyba że chcesz się potargować!

- Ja? Nie, nie. Co za los! - zawołała z teatralną przesadą. - Jestem na z góry straconej pozycji.

- W takim razie idziemy do złota.

A tam było jak w bajce. Maleńkie sklepiki, każda wystawa błyszcząca złotem. Wydawało się, że powietrze jest też złociste. Lydia mogłaby spędzić tu wiele godzin, ale wyboru dokonała nadszpiewanie szybko. Dla matki śliczne kolczyki, dwa złote wodospady przetykane malutkimi perełkami. Dla Jennie, która opiekowała się matką, broszka z turkusem.

- A dla siebie nic - stwierdził z niezadowoleniem Kal. - Może jakiś naszyjnik? Bo ten łańcuszek, który masz na sobie, należy do Rose, prawda?

- Tak. Jest do zwrotu.

- W takim razie...

- Nie, Kal! Nie!

Zaraz kupi jej trzy naszyjniki! Jeszcze tego brakowało!

Odwróciła się na pięcie i prawie biegiem ruszyła w stronę portu, gdzie czekała motorówka. Kal, wiadomo, musiał iść za nią. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, niestety chodziło tylko o biżuterię, bo los jedwabiu był już przesądzony. Pod wieczór do pokoju Lydii wniesiono cztery bele materiału, a kiedy spytała Dene, jak uregulować należność, tylko wzruszyła ramionami i powiedziała, żeby spytać bin Zakiego.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lydia Young miała już tylko jedno marzenie. Niech wreszcie nadejdzie ten upragniony siódmy dzień tygodnia i będzie można wrócić do Londynu. Wtedy skończy się udawanie lady Rose, udawanie, że nic się nie czuje do Kala.

Bo to, co teraz się dzieje, to po prostu koszmar!

Cisnęła ze złością książkę na ziemię. Próba zajęcia się lekturą wypadła żałośnie. Przez pół godziny wpatrywała się bezmyślnie w białą stronicę, w ogóle nie widząc liter. Tylko twarz Kala.

Czy jest jakiś sposób, żeby przestać o nim myśleć?

Wskoczyła do basenu. Przełynęła go pięćdziesiąt razy, może nawet sto. Kiedy ledwie żywa wychodziła z wody, on już czekał na nią z rozpostartym ręcznikiem.

- Kiedy pływam, nie musisz mnie pilnować, Kal.

- Muszę. Jestem twoim ochroniarzem.

- Przecież nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo.

Oprócz tego jednego. Zakochania się w mężczyźnie, który do miłości podchodzi sceptycznie, a małżeństwo traktuje jako korzystny dla obu stron układ między rodami.

- Proszę...

Wyszarpała mu ręcznik z rąk i uciekła do swojego pokoju. Usiadła na krześle i kryjąc twarz w zbitym w kłębek ręczniku, zaczęła pojękiwać żałośnie.

- Lydio, Lydio, błagam, trzymaj się. Nie pękaj...

Przez następnych kilka godzin starała się go unikać. Ale co z tego, że nie stanął na jej drodze, kiedy i tak był wszechobecny. Gdziekolwiek by poszła, wszędzie czuła zna-

jomy zapach lasu i świeżo upranych płóciennych szat. W uszach bez przerwy słyszała cichy odgłos jego kroków, kiedy stapał w sandałach po marmurowej posadzce.

Znów uciekła do swojego pokoju, gdzie Yatimah zaaplikowała jej masaż twarzy i ramion. Wymalowała też henną kilka nowych wzorków na rękach. Owszem, były bardzo ładne, Lydia miała jednak nadzieję, że zmyją się przed jej powrotem do pracy. Już słyszała komentarze klientów, kiedy tak ozdobionymi rękami będzie podsuwać zakupy do czytnika.

A potem zadzwonił Kal:

- Chciałem sprawdzić, co się z tobą dzieje, Lydio.

- Nic. Po prostu siedzę i rozmyślam, co zrobię po powrocie do domu.

- No i co wymyśliłaś?

- Zmieniam branżę. Koniec z sobowtórem, zajmę się handlem tkaninami. Mam niezły zapas.

- A... rozumiem. Chodzi ci o ten jedwab?

- Tak. Którego wystarczy na suknię ślubną z dziesięciometrowym trenem i na suknie dla czeredy drухen. Kal, ile on kosztował?

- Nie wiem, spytaj Deny.

- Kazała mi spytać ciebie.

- Tak? Dziwne. Czyżby to była jakaś tajemnica?

Słyszała, że jak powstrzymuje śmiech, co było nad wyraz wkurzające.

- Kal! - wrzasnęła. - Chciałam kupić parę metrów materiału na kostium albo sukienkę! Jak ja się z tym wszystkim zabiorę?!

- Żaden problem. Kalzak Air Services dostarczy ci do domu.

- Tak?! Lepiej przechowaj ten jedwab dla swojej narzeczonej! Yatimah mówiła mi, że u was narzeczony ma obowiązek przed ślubem obkupić przyszłą oblubienicę. Bizuteria, dywany, telewizor z jak największym ekranem...

- Yatimah lepiej niech nie będzie taka elokwentna - mruknął, po czym dodał tonem niemal urzędowym: - Dzwoniła Lucy, sprawdzała, czy dobrze się tobą opiekuję, *sitti*.

- Daruj sobie tę całą *sitti*! A Lucy możesz mówić, co chcesz!

- A mogę też zaprosić cię na spacer? Zrobimy sobie piknik...

Piknik? Siedzenie obok siebie na trawce? Sam na sam? Tylko nie to. Zbyt wielkie ryzyko przy tej oszalałej chemii między nimi.

- Przykro mi, Kal, ale mam w planie samotny spacer po plaży. Bo ja, w przeciwieństwie do ciebie, lubię przebywać tylko w swoim towarzystwie.

Specjalnie tak powiedziała, specjalnie! Na pewno rozżłościła go jeszcze bardziej. I dobrze, niech ma za swoje. Za to, że ona musi teraz przez to wszystko przechodzić, za to, że jest beznadziejnie zakochana, czyli ogólnie jest beznadziejnie, i za to, że doprowadza ją do łez.

Bo to prawda. Jeszcze chwila i Lydia Young się rozryczy.

- Jak już koniecznie musisz, to wdrap się na jakąś górkę i się gap! Ale nie podchodź, bo znowu drapnę cię muszelką!

Rozłączyła się, czując, że nie ma sensu dalej się handryczyć. Lepiej zająć się sobą. Objąć ramionami, oddychać głęboko, pracować usilnie, żeby nie załamać się ostatecznie.

Kal, kiedy wchodził do stajni, był po prostu wściekły. Całował się z Lydią dwa razy, ale nie posunął się dalej, bo niezależnie od honoru i innych powodów nie chciał jej zranić.

A i tak ją zranił. Widział w jej oczach ból, w oczach kobiety, która poruszała w nim wyjątkowo czule, głęboko ukryte struny, co z kolei oznaczało, że Kal zbliża się do granicy, za którą nie ma już miejsca na rozsądek i wszystkie swoje misterne plany na przyszłość plus teorię o płynności uczuć, przejętą od dziadka, będzie mógł wrzucić do błękitnego morza.

Gdyby był u siebie, wsiadłby do dwupłatowca. Kilka beczek albo pętli i już na duszy byłoby lżej. Tu, w Bab el Sama, nie było samolotów, ale miał do dyspozycji konie. Ogniste ogiery Hanifa.

Kiedy dociągał popręg przy siodle, koń, wyczuwając jego zdenerwowanie, niespokojnie rzucał łbem. A on był bardzo zdenerwowany nie tylko tym, że odmawiał sobie kobiety, której pożądał. Także totalną rewolucją w poglądach. Przez pięć lat realizował wszystko, co zaplanował, po czym znów planował. Lydii Young nie zaplanował. Okazuje się więc, że w życiu czasami coś się zdarza. Coś dobrego, coś złego. Tak po prostu jest.

Poza tym zawsze twierdził, że dziadek i ojciec zmarnowali swoje życie. Czy naprawdę? Mieli wokół siebie liczną rodzinę, owszem, wymykającą się wszelkim wzorcom, ale bardzo kochającą. Mieli gromadę dzieci i wnuków. Szczerze mówiąc, obaj szli przez to życie bardzo zadowoleni.

Pogłaskał parszającego niecierpliwie konia po szyi i zawołał chłopca stajennego. Kazał mu wsiąść na konia i pojeździć chwilę przed stajnią. On musiał jeszcze gdzieś zadzwonić. Ta rozmowa miała zmienić całe jego życie.

Lydia weszła na plażę i skopała z nóg sandały. Cała w bieli, białe były i spodnie, i T-shirt, a także kaszmirowy sweter, ponieważ tego dnia było zdecydowanie chłodniej.

Na niebie gromadziły się ciężkie ołowiane chmury, wiatr znad morza był coraz bardziej porywisty. Ale szła przed siebie, spoglądając co jakiś czas ze złością na motorówkę, w której ukrył się fotoreporter. Motorówką kołysało porządnie. Oby ten głupek miał chorobę morską! Chociaż może go już tu nie ma. Od dwóch dni w gazetach nie było zdjęć lady Rose, teraz na tapecie był Rupert Devenish, który podróżował po Stanach...

Spojrzała w niebo. Palce zacisnęły się bezwiednie na wsuniętej do kieszeni kartce, którą przekazała jej Dena tuż przed wyjściem z domu. Wiadomość od sekretarki żony emira, krótka i treściwa. Niestety księżniczka Sabirah z powodu ciężkiego przeziębienia nie może udać się w podróż. Księżniczka życzy lady Rose dalszego miłego pobytu w Bab el Sama i ma nadzieję, że niebawem spotkają się w Londynie.

W Londynie, gdzie Kal nie będzie miał już szansy wyskoczyć jak zabawka z drewnianej skrzyneczki i przekazać żonie władcy prośby umierającego dziadka.

Na litość boską! Czy ci ludzie poszaleli?! Przecież to wszystko wydarzyło się pięćdziesiąt lat temu!

Gdyby Lydia była prawdziwą lady Rose, pojechałaby do Rumaillah, zawiozłaby kwiaty księżniczce i spytała o zdrowie. No i przy okazji wstawiłaby się za Kalem.

Niestety, tak nie jest, a Kala trzeba zawiadomić jak najszybciej. Wyjęła komórkę, odnalazła numer, od razu jednak włączyła się poczta głosowa.

- Kal... - zaczęła niepewnym głosem, bardzo nieszczęśliwa, że jest posłańcem złej wiadomości. - Kal...

Nagle przez podmuchy ostrego wiatru przedarł się inny dźwięk. Głośny i miarowy. Tętent końskich kopyt. Lydia odwróciła się trochę wystraszona. Koń dobiegał już do niej. Zobaczyła powiewającą białą szatę i wyciągnięte ręce.

A potem nagle znalazła się w siodle, na galopującym rumaku. Jej twarz wtulona w szeroką pierś, tam gdzie bije serce.

Jak sen...

Koń gnał, przeszedł w cwał. Kiedy Bab el Sama było już daleko za nimi, Kal zatrzymał ogiera i nie wypuszczając Lydii z rąk, zeskoczył na ziemię. Zaczął nieść Lydię do samochodu, który jakimś cudownym sposobem ustawił się kawałek dalej.

- To porwanie, Kal! Dokąd chcesz mnie zwieźć?

- Zobaczysz.

Usadził ją w samochodzie, zapiął pasy i zasiadł za kierownicą.

- A co z koniem, Kal?!

- Chłopak stajenny zaraz tu będzie, zabierze go do stajni.

Ruszyli. Lydia była prawie pewna, że w taki to efektowny sposób Kal zabiera ją na piknik. Gdzieś nad rzeką czeka rozłożony kocyk. Albo może Kal chce pokazać jej jakieś niezwykle interesujące wykopaliska...

Nic z tych rzeczy. Kiedy zatrzymał samochód, nie zobaczyła ani kocyka, ani glinianych skorup.

- Spójrz tam, Lydio!

Wyteżyła wzrok. Wieża, na pewno wieża. I korony drzew za wysokimi murami. Nie miała wątpliwości, że patrzy na Umm Al-Sama.

- Chcesz pojechać tam ze mną? - spytał.

Do miejsca, gdzie urodził się jego dziadek. Jedyne miejsce na świecie, które nazywał swoim domem. Tak samo ojciec Kala, tak samo Kal, który teraz szykował dom w Umm Al-Sama nie tylko na powrót dziadka, także dla swojej przyszłej żony.

Dlatego przywiózł tu Lydię Young.

Uśmiechnęła się. Błękit oczu rozblęsnął, z ust uleciały słowa zasłyszane kiedyś w szkółce niedzielnej:

- Dokąd ty pójdziesz, tam ja pójdę, gdzie ty zamieszkas, tam ja zamieszka... *

* Księga Rut 1:16. Biblia Tysiąclecia.

Kal, trzymając Lydię za rękę, oprowadził ją po Umm Al-Sama. Pokazał zdziczałe ogrody, teraz już uporządkowane, oraz oczyszczone stawy. W srebrzystej wodzie odbijało się niebieskie niebo. Przeprowadził pod arkadami wyłożonymi glazurowanymi płytkami, niebieskimi i zielonymi. Pokazał turbinę wiatrową, która napędzała zimne powietrze do specjalnego basenu chłodzącego pod domem, pokazał wszystkie budynki, które po remoncie odzyskują dawną świetność.

Jeden dom, mniejszy od innych, był już po remoncie.

- Mieszkała tu żona mojego pradziadka - powiedział Kal, wprowadzając Lydię do środka. - Kiedy pradziadek został emirem, przeprowadzili się do pałacu w Rumaillah. Umm Al-Sama dostał najstarszy syn, czyli mój dziadek. Od kiedy jednak został skazany na banicję, nikt tu nie mieszkał... A teraz zapraszam na górę, Lydio. Na balkonie na pewno znajdziemy coś do jedzenia.

- Do jedzenia?

- Oczywiście. Przecież zaprosiłem cię na piknik, nie pamiętasz?

Zaprowadził ją na duży balkon osłonięty przed słońcem rzeźbionymi okiennicami. Przez chwilę podziwiali piękny widok na odległe góry, potem Kal pchnął drzwi prowadzące do prywatnych pokoi księżniczki.

W pierwszym pokoju na lśniącej posadzce zasłanej perskimi dywanami stało wielkie łóżko.

- Czyżbyś czekał na Szeherezadę, Kal?

- Na ciebie, *ya habibati*. Moja ukochana. - Spojrzał jej głęboko w oczy i wyciągnął do niej rękę.

- O tak, Kal. Umieram z głodu... - szepnęła, podając mu usta. - Tylko ty możesz zaspokoić mój głód...

Lydia obudziła się bardzo późno, około południa. Sama, w wielkim łóżku. Była pewna, że Kal siedzi na balkonie i czeka, aż ona się obudzi, ale kiedy owinięta w wielki

ręcznik weszła na balkon, nie zastała nikogo. Tylko swoje ubranie, uprane i wysuszone, oraz karteczkę od Kala:

Proś o wszystko, czego chcesz. Umm Al-Sama należy do ciebie. Wrócę niebawem.

Wykąpała się, umyła głowę i sięgnęła po ubranie, pod którym leżała kartka z wiadomością od sekretarki księżniczki. Też została uprasowana.

Szkoda, że mu o tym nie powiedziała. Ale nic straconego, można przecież do niego zadzwonić. Niestety włączyła się poczta głosowa. Nie przekazała wiadomości o księżniczce, taka wiadomość nie jest na telefon. Nagrała tylko pytanie, kiedy wróci.

Służący przyniósł jej lunch. Potem zeszła do ogrodu. Pospacerowała po ścieżkach, czas zaczynał się dłużyć. Nie miała ze sobą żadnej książki, wyjęła więc komórkę i weszła do internera, żeby przeczytać wiadomości z ostatniej chwili. Przeczytała pierwszą i zmroziło ją.

Lady Rose porwana!

Nie Rose. Na zdjęciu jest ona, Lydia. Na całej serii zdjęć. Sama na plaży. Kal na rozpędzonym koniu. Sadza ją przed sobą na siodle. Znika w oddali.

Ten paparazzi wcale nie wyjechał. A może wyjechał, tylko ktoś ściągnął go tu z powrotem, żeby zrobił kilka ciekawych zdjęć.

Kto? Czyżby...

Szalona myśl, ale logiczna. Kal dowiedział się od kogoś, że księżniczka nie przyjedzie do Bab el Sama, i wpadł w rozpacz. Mówił jej przecież, że dni dziadka są policzone. Dlatego zdecydował się na ten desperacki krok, z nadzieją że kiedy zrobi się szum wokół jego osoby, to może w jakiś sposób przysłużyć się sprawie dziadka.

Szum już jest. Piszą o nim. Emir nie może dłużej udawać, że Kal nie istnieje. Na pewno wysłał już po niego straż. Kal został aresztowany, dlatego go tu nie ma i ma wyłączony telefon.

Wymyślił to porwanie jak z filmu, żeby była okazja do zrobienia ciekawych zdjęć. Może nawet wcale nie mieli jechać do Umm Al-Sama. A to, co stało się potem... Przecież to ona sprowokowała Kala głupią prośbą, żeby zaspokoił jej głód. Który facet go nie zaspokoi?

O Boże, co teraz robić?

Kal zostawił Lydię pogrążoną w głębokim śnie i pojechał do Bab el Sama. Kazał Yatimah spakować rzeczy Rose i jego rzeczy, potem wsiadł do motorówki, przepłynął na drugą stronę rzeki i poszedł na bazar. Po tej nocy, kiedy Lydia należała już do niego, chciał obdarować ją czymś bardzo pięknym i nadzwyczaj cennym. Diamentem, który powie więcej niż słowa.

Potem zadzwonił do dziadka i powiedział mu, żeby jeszcze poczekał z tym umiowaniem. Jeśli będzie cierpliwy, zobaczy nie tylko ślub wnuka w Umm Al-Sama. Odczeka jeszcze trochę i zobaczy prawnuka.

Kiedy po lunchu wrócił do Umm Al-Sama, dowiedział się, że *sitti* nie ma. Kazała zawieźć się do Rumaillah, do pałacu emira.

Dzwonili z pałacu? Księżniczka wezwała ją do siebie? Niemożliwe. Lydia nie pojechałaby tam w bawełnianych spodniach i T-shircie!

Przeskakując po dwa stopnie, pognął na górę, do pokoju, w którym spędzili cudowną noc. Miał nadzieję, że Lydia zostawiła jakąś wiadomość, znalazł jednak tylko karteczkę, którą sam do niej napisał, a także kartkę z wiadomością od sekretarki księżniczki. Wiedział już od Deny, że księżniczka nie czuje się dobrze. A tę kartkę od sekretarki Lydia musiała mieć ze sobą, kiedy zabierał ją z plaży i nie ma to nic wspólnego z jej wyjazdem do Rumaillah.

Chyba że...

Szybko otworzył internet. Wiadomości z ostatniej chwili. Spojrzał i z jego ust wyszła cała wiązanka przekleństw, długich, wyjątkowo mocnych, w kilku językach. Co z tego, że przegonił tego paparazziego. Drań i tak wrócił. Albo jakiś inny, ale co to za różnica.

Lydia musiała też zaglądać do internetu. Nietrudno zgadnąć, co sobie pomyślała. Kiedy dowiedział się, że księżniczka nie przyjedzie, zdesperowany zdecydował się odegrać przed obiektywami paparazzich całe to przedstawienie z porwaniem, żeby emir go w końcu zauważył.

Zaufała mu, oddała to, co w kobiecie najcenniejsze, a on ją zdradził.

Lydia, spowita w abaję pożyczoną od jednej z kobiet z Umm Al-Sama, stała koło drzwi w grupie osób, które przybyły z petycjami do emira. Była jedyną kobietą. Męż-

czyżni wcale nie ukrywali niezadowolenia. Popychali ją, chrząkali znacząco, stała jednak twardo i czekała na swoją kolej.

Emir siedział w otoczeniu doradców. Pod ścianami stały niskie kanapy, na których siedzieli mężczyźni i pili kawę z malutkich filiżanek.

Kiedy przyszła jej kolej, zsunęła z nóg sandały i zrobiła krok do przodu. Ktoś musiał w tym momencie nastąpić na abaję, może specjalnie. Zsunęła się, odsłaniając jasne włosy Lydii. W jednej chwili w ogromnej sali zapadła cisza jak makiem zasiał.

Emir wstał i wyciągnął rękę.

- Lady Rose! Bardzo niepokoił się o panią! Bardzo proszę...

Wzywał ją do siebie.

Przeszła przez ogromną salę i skłoniła się emirowi.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Jak Wasza Wysokość widzi, jestem cała i zdrowa. Dlatego, jeśli Wasza Wysokość kazał aresztować Kalila Al-Zakiego, proszę, by Wasza Wysokość kazał go uwolnić.

Po sali przeszedł szmer. Emir spojrzał i wszyscy znowu ucichli.

- Kto to jest Kalil Al-Zaki? - spytał.

- Kto?! - Lydią aż zatrzęsło. Miała w nosie wszystkie protokoły. Wasza Wysokość to, Wasza Wysokość tamto... Och, dość! Nie zamierzała płaszczyć się przed emirem, bo nawet władcy czasami warto walnąć prawdę prosto w oczy. - Wasza Wysokość nie wie? To się w głowie nie mieści! Dziadka Kalila skazano na banicję pół wieku temu! Minęło pięćdziesiąt lat, a Kalil, rodzony bratanek Waszej Wysokości, i tak skazany jest na niebyt. Wasza Wysokość traktuje go jak powietrze, kiedy powinien być z niego dumny! Kalil Al-Zaki jest człowiekiem honoru, składa się z samych zalet. Kocha i dba o swoją rodzinę, zbudował międzynarodową firmę, z której dumny byłby każdy kraj. A do Waszej Wysokości ma tylko jedną, jedyną prośbę. Prosi, by Wasza Wysokość zezwolił mu przywieźć jego dziadka do Umm Al-Sama. Bo dziadek Kalila pragnie umrzeć w swoim rodzinnym domu. Wasza Wysokość! Przecież człowiek nawet psu by tego nie odmówił!

- Nadal cisza. - A tak przy okazji... Nazywam się Lydia Young. Lady Rose wzięła sobie urlop, wypoczywa w miejscu, gdzie nie będą jej fotografować dwadzieścia cztery godziny na dobę! - A na koniec, ponieważ nie miała już nic do stracenia, padła na kolana. -

Syn pradziadka Waszej Wysokości umiera! Błagam, niech Wasza Wysokość pozwoli mu umrzeć w jego rodzinnym domu!

Strażnik pałacowy zatrzymał Kala przy drzwiach. Mógł tylko stać, patrzeć i słuchać. Ale kiedy po jej błaganiu o litość zapadła ogłuszająca cisza i nawet strażnik zamarł, wykorzystał ten moment. Odepchnął go, podbiegł do Lydii i podniósł ją z klęczek.

Dotknął swojej głowy, dotknął serca. I skłonił się przed nią.

- *Ya malekat, ya rohi, ya hahati.* Jesteś piękna, jesteś moją duszą, moim życiem. *Ahebbak, ya tao'am rohi.* Moje serce należy do ciebie. *Amoot feeki.* Bez ciebie nie potrafię żyć. Lydio! Błagam, uwierz mi. Naprawdę o niczym nie wiedziałem. Przysięgam!

Otworzyła usta, chciała coś powiedzieć, ale w tym momencie przemówił emir:

- Lydio Young, wysłuchałem twojej prośby.

Wysłuchał, ale nie spełni. Co do tego Lydia nie miała żadnych wątpliwości. Kal też, dlatego wziął ją pod rękę i poprowadził do drzwi. Chciał wyjść stąd jak najprędzej, porozmawiać z nią, przekonać o swojej niewinności.

Ale emir znów przemówił:

- Kalilu Al-Zaki, twojej prośby nie wysłuchałem.

- Zostań, Kal - szepnęła Lydia.

- Nie.

- Na litość boską, Kal! Takiej szansy nie wolno ci zmarnować!

Odwróciła się i odeszła.

Lydię zaproszono do apartamentów księżniczki, gdzie mogła odświeżyć się i przebrać w czyste ubranie. Potem coś zjadła, a kiedy poprosiła, czy mogłaby jak najprędzej polecieć stąd do Londynu, zawiadomiono konsula brytyjskiego, który przywiózł jej dokumenty tymczasowe, ponieważ paszport był gdzieś w jej rzeczach, a gdzie teraz były jej rzeczy, o tym wiedział tylko Kal.

W Londynie na chodniku pod oknami jej mieszkania czekał tłumek fotoreporterów, na sekretarkę zdążyło się już nagrać kilkanaście osób z gazet, które chciały kupić jej historię. Nagrał się też pewien bardzo znany dziennikarz. Nalegał, by niczego nie podpisywała, zanim z nim nie porozmawia.

Matka nie powiedziała ani słowa, tylko przytuliła Lydię, która po prostu się rozryczała.

Potem zadzwoniła Rose. Pytała, czy wszystko w porządku i bardzo jej dziękowała.

- Lydio, pomogłaś mi odmienić życie. Jestem ci nieskończenie wdzięczna. Myślę też, że mogłabyś sprzedać swoją historię. Zarobisz na tym.

- Nie ma żadnej historii... - Szybko zmieniła temat. - Rose, przepraszam, ale pojutrze idę do pracy. Czy mogłabym dostać z powrotem mój samochód?

- Samochód... hm... A więc jeśli chodzi o samochód, mam dla ciebie dwie wiadomości. Złą i chyba dobrą. Pierwsza ta zła. Miałam... hm... wypadek. Przykro mi, Lydio, ale twój samochód nadawał się tylko na złom. George postarał się już o inny. Wesóły czerwony beetle. Odpowiada? Jeśli tak, to znaczy, że jest to dobra wiadomość. Jutro ci go dostarczą.

- Odpowiada. Dziękuję. I gratulacje, Rose. Jesteś szczęśliwa?

- Tak! Wyślę tobie i twojej mamie zaproszenia na nasz ślub!

Kal nie dawał znaku życia. Przez telefon zresztą było to niemożliwe, ponieważ Lydia, żeby odciąć się od nachalnych mediów, a już zwłaszcza od tej dziennikarskiej gwiazdy, wyłączyła oba telefony, stacjonarny i komórkę. Do agencji sobowtórów wysłała mejla z podziękowaniem za współpracę, wykasowała kilkanaście mejli od dziennikarzy pragnących zrobić z nią wywiad i od kilku dziwaków, którzy po prostu chcą być dziwni.

Faceta, który dostarczył jej nowiutkie czerwone auto VW Beetle - na pewno kosztowało trzy razy tyle co jej poprzedni wóz - wpuściła dopiero wtedy, kiedy podał przez uchylone drzwi swoje dokumenty.

Ubrany w czarno-złoty mundur kurier z Kalzak Air Services przywiózł jej bagaże. Piękne ubrania od Rose, kosmetyki i cztery bele jedwabiu.

Dała matce i Jennie prezenty.

A potem, już sama w swoim pokoju, usiadła nad belą kremowego jedwabiu i załapała się łzami.

Emir kazał Kalowi długo czekać. Chciał przekonsultować jego prośbę z braćmi, synami i bratankami. Rozrzuceni po całym świecie krewni konferowali za pośrednic-

twem wideo. W końcu podjęto decyzję. Dziadek może wracać do Umm Al-Sama, jego potomni mogą używać nazwiska Khatib. Emir, przekazując to Kalilowi, podjął jeszcze jedną decyzję. Dziadek może też wrócić do nazwiska Khatib, zwraca mu się także jego tytuł. Kalil spytał, czy Dena może jechać z nim po dziadka do Londynu. Emir nie miał nic przeciwko temu, po czym, uśmiechając się pod nosem, spytał:

- Czy to już wszystko, o co prosisz, Kalilu bin Zaki Al-Khatib? Jeśli tak, to może ja coś zaproponuję. Jedna z moich wnuczek jest panną na wydaniu. Skoro jesteś teraz szejkiem...

- Wasza Wysokość, to dla mnie wielki zaszczyt, ale ja, podobnie jak mój dziadek, sam wybrałem sobie żonę. Wasza Wysokość miał okazję ją poznać.

- A więc to ta dama? - Emir raczył się roześmiać. - Gorąca kobieta. Będziesz miał z nią wesoło - zakończył z wyraźną aprobatą.

Ponieważ nie było sposobu na pozbycie się tłumku na chodniku przed domem, Lydia w końcu zdecydowała się z nim zmierzyć. Wyszła przed dom i pod oknami swojego mieszkania urządziła konferencję prasową. W sumie nie było to aż takie straszne. Zadali kilka pytań i poszli sobie. A ponieważ Lydia nie była jednak lady Rose, po niedługim czasie dali jej w ogóle spokój. Tylko z agencji dzwonili nieustannie, prosili, żeby jeszcze raz przemyślała swoją decyzję. Mieli mnóstwo zamówień na sobowtóra lady Rose, ponieważ ogłoszono już oficjalnie, że prawdziwa lady Rose zaręczyła się.

Pewien bardzo znany dziennikarz zwinął żagle. Ten, który bardzo chciał dogadać się w sprawie napisania przez Lydię - jego ręką, oczywiście - książki o jej przeżyciach jako sobowtóra lady Rose. W książce miała być ujawniona tajemnica, kto naprawdę porwał ją na karego konia i co działo się potem. Na szczęście dziennikarz w końcu zrozumiał, że jeśli Lydia mówi „nie”, to znaczy „nie”.

Kal nadal nie dawał znaku życia, co w sumie łatwo było wytłumaczyć. Organizował przewiezienie dziadka do Umm Al-Sama, poza tym zapoznawał się z tymi Khatibami, z którymi dotychczas nie miał kontaktu.

Lydia skrzywiła się, kiedy po raz pięćdziesiąty w tym tygodniu usłyszała z głośników „Białe Boże Narodzenie”. I uśmiechnęła się do kolejnej zaganianej matki robiącej świąteczne zakupy.

Sięgnęła po następnego indyka.

Kał stanął w kolejce do kasy.

Prosto z lotniska pojechał do domu Lydii. Poznał jej matkę i mając jej błogosławieństwo, pojechał dalej, do miejsca, które było dla Lydii środowiskiem naturalnym. Tam zamierzał wyznać jej miłość, na oczach szeroko zgromadzonej publiczności, ponieważ chciał, żeby wszystko było jasne. On wie, kim ona jest, jaka jest i w takiej się zakochał. Nie w ikonie narodu, lecz w Lydii Young, zwyczajnej kasjerce z supermarketu, która siedzi teraz tam w swetrze i śmiesznej czapce na głowie z racji zbliżających się świąt.

Wyglądała na zmęczoną, ale uśmiech nie schodził z jej twarzy. Wszystkich klientów witała jak serdecznych przyjaciół. Każdego pytała, jak spędza święta, wysłuchiwała odpowiedzi z wielkim zainteresowaniem, jednocześnie zręcznie podsuwając zakupione towary do czytnika.

Kiedy do kasy podeszła staruszka z powykręcanymi przez artretyzm rękoma, Lydia starannie zapakowała wszystkie jej rzeczy i pomogła odliczyć pieniądze. Potem do kasy podeszła kobieta z dwójką małych dzieci, jedno z nich, jeszcze niemowlę, trzymała na rękach. Wyglądała na ledwie żywą. Lydia błyskawicznie odczytała ceny, zapakowała rzeczy do toreb, a kiedy matka zaczęła gorączkowo szukać portmonetki, wzięła niemowlę na ręce. Uspokajała matkę, głaskała maleństwo. Dziecko zasnęło, portmonetka została znaleziona.

- Czy panią mogę też zabrać do domu? - spytała matka, odbierając od Lydii dziecko.

Taka była Lydia. Piękna i z wierzchu, i w środku. Kał stał, patrzył i z każdą minutą kochał ją jeszcze bardziej.

Do kasy podeszła zmienniczka.

- Lydio, obsłuż jeszcze tylko tego pana i przejmę kasę.

Dla Kała był to sygnał, żeby kładł na taśmie zakupy. Jedną, jedyną rzecz.

Widział, jak Lydia zebrała się w sobie, żeby obsłużyć jeszcze jednego klienta. Uśmiech powrócił na twarz, spojrzała w bok, na taśmę, czekając, aż zakupy podjadą do niej. Widział, jak uśmiech znika z twarzy Lydii, między brwiami pojawia się pionowa

kreska. Oczy wlepione w małe pudełeczko obciążone ciemnoniebieskim aksamitem, które powoli zbliżało się do niej. Otwarte. W środku wspaniały, skrzący się diament.

Zdezorientowana poderwała głowę. Zobaczyła go przy drugim końcu taśmy, za nim stała gromada klientów. Wszyscy się gapią w nadzwyczajnym napięciu.

Powoli podniosła się z krzesła.

- Kal...

- Lydio, to pierścionek dla ciebie. Miałem go w kieszeni, kiedy wróciłem do Umm Al-Sama. Byłem pewien, że ty już wiesz. Że tylko ciebie wezmę sobie za żonę. Chciałem kupić ci coś, co będzie oznaką mojej miłości. Namacalnym jej dowodem.

- Ale ja? Ja? Jesteś całkowicie pewien, że chcesz takiej właśnie żony? Mnie?

- Tak, Lydio. Dopóki ciebie nie spotkałem, nie wiedziałem, czego w ogóle chcę, ale miłość to gwiazda przewodnia dla każdego zbłąkanego wędrowca. Ty mnie tego nauczyłaś. Lydio... - Kal ukląkł - *Ahebbak*. Kocham cię. Zostań moją księżniczką. Moją żoną, moją ukochaną, matką moich dzieci. Moją duszą, całym moim życiem.

W tym momencie coraz liczniejsza widownia spontanicznie zaczęła klaskać, choć na oklaski było trochę za wcześnie. Przecież Lydia nie powiedziała jeszcze „tak”.

- A co z dziadkiem? - spytała.

- Powrócił do domu. Dzięki tobie, Lydio.

- Czyli osiągnąłeś wszystko, co chciałeś.

- Wszystko, oprócz ciebie.

Wstał z kolan, wyjął z aksamitnego pudełeczka pierścionek i licząc cicho po arabsku, zaczął nim dotykać po kolei każdego palca u lewej dłoni Lydie:

- *Wahid, ithnan, thelatha, arba'a, khamsa...*

- *Ithnan, ya habibi*. Na drugi, mój ukochany - szepnęła Lydia. - *Ahebbak*, Kalil. Kocham cię...

Wsunął pierścionek na serdeczny palec jej lewej dłoni. Obszedł kasę i wziął Lydię w ramiona. Pocałował ją.

W tym czasie żadna kasa w supermarkecie nie pracowała. Cały sklep klaskał.

- Nie przeszkadzajmy ludziom w świątecznych zakupach - powiedział Kal. - Chodźmy już, *ya habibi*. Zaczynamy szykować się do ślubu.

Daily Chronicle, 2 marca 2010

Sobowtór lady Rose wychodzi za swego księcia!

Lydia Young, która przez dziesięć lat występowała jako sobowtór lady Rose, wyszła wczoraj za szejka Kalila bin Zakiego Al-Khatiba, bratanka emira Ramal Hamrahn. Ślub odbył się w Umm Al-Sama.

Szejk Kalil, założyciel międzynarodowej firmy Kalzak Air Services, która zajmuje się frachtem lotniczym, poznał pannę Young tuż przed świętami. Miłość rozkwitła błyskawicznie, szejk oświadczył się panie Young jeszcze przed świętami.

Matka panny młodej, pani Glenys Young, która pracowała kiedyś jako szwaczka w znanym londyńskim domu mody, uszyła córce suknię ślubną z kremowego jedwabiu, prezentu od narzeczonego.

Cztery siostry pana młodego były druhnami, jego brat drużbą. Na ślub zjechali krewni i goście ze wszystkich zakątków świata, między innymi lady Rose Napier z narzeczoną, biznesmenem i miliarderem George'em Saxonem. Poważnie chory dziadek pana młodego poczuł się tak dobrze, że podczas wesela wygłosił krótkie przemówienie.

Młoda para zamierza dzielić czas między Londynem, Paryżem, Nowym Jorkiem i Ramal Hamrahn.

